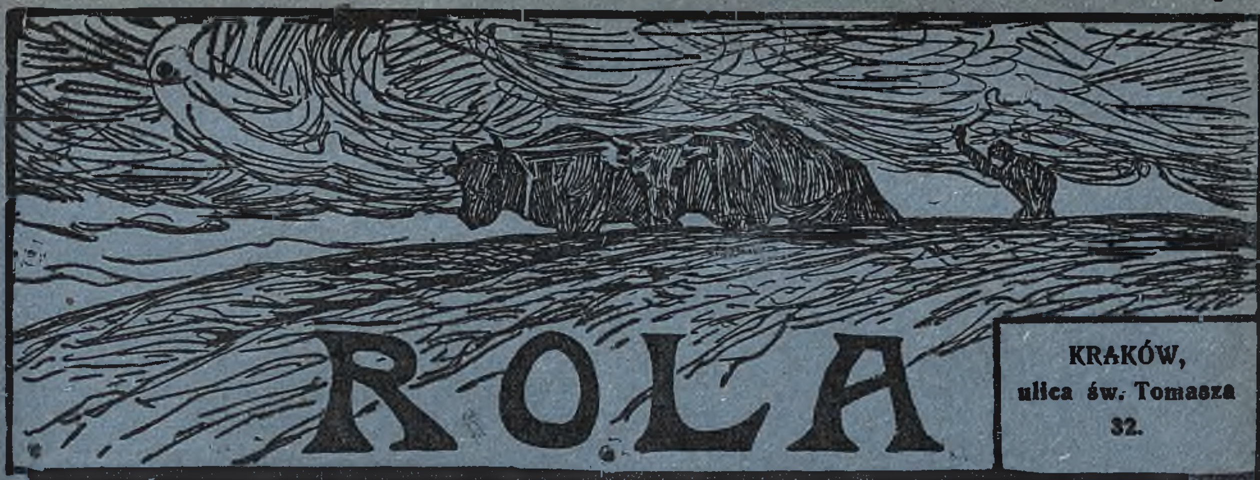
Numer 22. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 29 Maja 1927.



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Wdzięczny żebrak.

Pewien dobroczynny pan, dawszy jałmużnę żebrakowi, powiada:

— Tutaj obok mieszka bogaty właściciel ziemski, który potrzebuje robotników.

— Bóg zapłać za ostrzeżenie! — odpowiedział żebrak, odchodząc.



Dlaczego.

— Wyobraź pan sobie mój wczorajszy niepokój. Budzę się w nocy i spostrzegam, że ktoś pociemku przeszukuje kieszenie mego ubrania. Chwytam za rewolwer, który mam zawsze pod poduszką.

— I zabiłeś pan?

— Nie, nie chciałem zostać wdowcem.



Co mu się przydać może.

— Nie oddawaj mnie pan policji...

Pan Piotr złapał włamywacza.

— Pod jednym warunkiem tylko, jeśli mi powiesz, w jaki sposób dostałeś się do mieszkania, nie obudziwszy mej żony, bo mnie się to nigdy nie udaje.

Pochlebstwo.

— Zaręczam pani, że mój pies jest tak rozumny jak ja!...

— Czy pan tylko nie mówisz komplementu?

— Psu?

— Nie, sobie!...



Znawca.

— Muzyką córki pani dobrodziejki jestem zachwycony: niczem Paderewski!

— Ależ, panie! to pokojówka okurza klawisze ściereczką.



Słuszne.

— Jakie jest podobieństwo między wieprzem a skąpcem?

— Że z jednego i drugiego dopiero po śmierci społeczeństwo odnosi pożytek.



Numer 22. Rok X. Kraków, dnia 29 Maja 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Kolebka Słowackiego.



W przeddzień sprowadzenia prochów Juljusza Słowackiego do Polski coraz więcej się mówi i pisze o tym księciu poetów polskich, który tak swoją Ojczyznę ukochał, a którego szczątki dopiero po latach wielu spoczną na ojczystej ziemi. Wprawdzie jeszcze nieraz zapewne będziemy mieli sposobność pomówić o tym wielkim mocarzu pióra i objaśnić jego przeogromne znaczenie dla Polski, ale nim to nastąpi, podamy naszym Czytelnikom opis miejsca rodzinnego Juljusza Słowackiego.

Był nim cichy i jeden z najpiękniejszych zakątków świata. Urocza kotlina, wciśnięta w skaliste odpryski Karpat, wśród których jako widomy znak tego, co niegdyś żyło, jako pełna smutku strażnica wielkich wspomnień wznosi się góra królowej Bony, dźwigająca na wyniosłych swych a krzepkich barkach ruiny starego zamczyska.

Ze szczytu innej góry wyrasta stary, samotny krzyż, świadek rzeczy dawnych, pamiętnych i dziwnych. A gdzie okiem sięgnąć, piętrzą się skalne urwiska i toną w zieleni sadów i w wiecznie ruchomym gąszczu gajów leszczyny, lub iskrzą się w słońcu, zasypane misternym puchem śniegów, niepokalanie białych i milczących.

Mały, górski strumień wiąże kotlinę ze światem równin, gdzie w obramowaniu łąk kwietnych wiją się brzegi »srebrnej Ikwy«, a w samem sercu strzeże go szmaragdowym wałem zacisza spoczywa odwieczne miasto, dzisiaj ciche, zapomniane i martwe... miasto Słowackiego, Krzemieniec.

Smutna kolebka! Zapomniano o niej i ona sama o sobie pamięć na wieki zgasiła. Imię Juljusza przemawia tu do nas jeno z mogilnych znaków grobowca jego matki, natomiast domu. w którym na świat przyszedł, lub miejsca, na którom dom ten się wznosił, nie znamy.

Krzemieniec jest miastem niezbyt wielkiem, gdyż ludność jego nie przekracza 20.000 mieszkańców, lecz mimo to za czasów porozbiorowych ogniskowało się tu życie umysłowe Polski. Najwięcej do tego przyczynił się Tadeusz Czacki, który, odznaczywszy się już w bardzo młodym wieku pełną poświęcenia a bezinteresowną pracą dla naszej Ojczyzny, powołany został przez cara Aleksandra I na wizytatora szkół w gubernji wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej 1803 r. Choć z zawodem takim nieobeznany, ożywiony jednak gorącą chęcią służenia krajowi, którego lepszą dolę i szczęśliwą przyszłość widział tylko w podniesieniu oświaty, zwrócił wszystkie siły ku temu celowi i wypracował plan naprawy czyli reformy szkół, a zarazem założenia wyższego zakładu naukowego na Wołyniu. Własnymi zabiegami i staraniami zebrał w krótkim czasie dwieście tysięcy rubli srebrnych tak, że w roku 1805 za zezwoleniem carskiem mógł uroczyście otworzyć w Krzemieńcu wyższą szkołę, zwaną „Liceum Krzemienieckiem" lub „Gimnazjum Wołyńskiem". Zakład ten, któremu równego napróżnoby szukać w epoce owej, istniał do roku 1833, przez cały czas świecił przykładem swoim innym szkołom polskim i wychował na sławę i pożytek Polski wielu znakomitych mężów.

Jednym z profesorów tego Liceum był ojciec Juljusza, Euzebjusz Słowacki, człowiek wielkiego talentu i nauki, którego też wpływ niewątpliwie wywarł wielkie znaczenie na młodocianym umyśle przyszłego poety. Euzebjusz Słowacki przeniósł się z czasem, jako profesor na uniwersytet wileński, gdzie też w r. 1814 życia dokonał. Wobec tego i syn jego uniwersytet kończył w Wilnie, w którem znowu ogniskowało się życie umysłowe tej połaci kraju naszego.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

Były oprócz tego mnogie inne sprawy, zmarł był niedawno ulubiony królowi mąż siostry jego Aleksandry, Semko mazowiecki, po którym liczne, niemal na rękach Jagiełły wypiastowane zostało potomstwo. Biskup zagadnął o nie króla i oderwał myśl jego od własnego bólu, mówiąc o pozostałej wdowie. Potem rachunki z żup, o których ścisłe sprawdzenie chodziło napomknął. Jagiełło ostygł.

Gdy się to działo w jednej połowie Medyckiego dworu, na drugiej królowa przechadzała się płacząc, bo łzy jej nie osychały, narzekając, oburzona tem, że ją na łup zemście Witolda wydać chciano. Czuła ona, że raz wygnana do Litwy, już więcej powrócić nie mogła do Krakowa, a gdyby nawet wyrwała się z niewoli, dawnego stanowiska by nie odzyskała.

Z rozkazu króla przygotowano do podróży wszystko, a ludzie uprzedzeni byli, iż na Litwę odwieźć mieli Sonkę. Rozstanie z dziecięciem, które zostawało w Krakowie, dodawało boleści.

Femka napróżno chodziła za nią, głaszcząc, ciesząc i poddając myśli różne; nawet tę najdziwaczniejszą, aby zwróciła się o opiekę do stryja, który w Wiazmie siedział, a o krew swą upomnieć się był powinien. Lecz odważyłżeby się on przeciwko wszechwładnemu Witoldowi wystąpić?

Wieczorem biskup czuł się w obowiązku przyjść pocieszyć królowę. Nie śmiał on jej przyrzekać nic, lecz z mowy zmiarkować było można, iż do chwili ostatniej nie stracił nadziei przełamania króla.

Cała noc upłynęła we łzach i gorączkowych przygotowaniach do tej nieszczęsnej podróży. Królowa kłaść się nie chciała, padała na łoże, spoczywała na niem zmęczona osłabieniem, zrywała się, wybuchając nowym płaczem i tak doczekała się wczesnego poranka wiosennego.

W podwórzu ruch się obudził o brzasku... Zaczęto wozy zaciągać, skrzynie ładować, konie prowadzić do wodopojów, wybierać ludzi, przynosić rzeczy. Gwar w przedsieniach nie dawał już spoczywać.

Król, jak zwykle, choć przebudzony, nie rad z pościeli wstawał, a dnia tego, może nie chcąc się spotkać z królową, umyślnie zależał.

Po kilkakroć czeladź swą posyłał z niecierpliwością dowiadywać się, czy wszystko było w gotowości do wyjazdu, zdawał się przynaglać, aby od ciężaru tego się uwolnić.

Tymczasem biskup raniutko mszę odprawiwszy w kościółku, nim królowa wyruszyć mogła, zjawił się we dworze i wszedł zapowiedziany do sypialni królewskiej.

Idąc do niej przez otwarte okna mógł słyszeć jęki i płacz biednej skazanej, dla której oddanie Witoldowi było śmierci wyrokiem. Wzruszył go aż do gniewu nielitościwy upór króla.

Nachmurzony, z brwiami ściągniętemi, przystąpił do łoża Jagiełły... Tuż było okno, które ruchem ręki otworzył gwałtownie.

— Słuchaj, miłościwy panie — zawołał — tych jęków i płaczu. Twoje okrucieństwo je wyciska... Królowa, żona twoja, leje łzy skrzywdzona i osławiona przez ciebie... Lękasz się uroków, złego oka i czarów, a sądzisz, że Bóg ci tego nie policzy i nie ukarze... Łzy te padają na szalę grzechów twoich.

Król podniósł głowę, słuchając osłupiony. To porównanie łez do czarów, których się obawiał, podziałało na niego. Blade, pomarszczone ręce, które trzymał na okryciu łoża, załamał z całych sił.

Zmienionym głosem odezwał się do biskupa:

— Witold, Witoldowi!

Zbyszek wybuchnął.

— Książę Witold jest waszym lennikiem, nie wy jego! Ulegać mu jest sromem, królowę mu poświęcić, sławę swoją i domu... byłoby słabością... Miłościwy panie... czas jeszcze... czas jeszcze... błagam cię...

Chwilę trwało milczenie, złamanym głosem na ostatek Jagiełło dodał:

— Niech więc jedzie do Krakowa... niech siebie i mnie stara się oczyścić... ale widzieć jej teraz nie mogę...

Biskupowi twarz się rozjaśniła.

— Bogu niech będą dzięki — rzekł — zawszem liczył na to, że wam serce i sumienie nie dopuści popełnić niesprawiedliwości.

Po twarzy starego króla dwa ciche strumienie łez płynęły zmarszczkami i tonęły w fałdach twarzy...

Biskup wyszedł natychmiast.

Królowa w odzieży podróżnej, blada przechadzała się po izbie, a krok w krok za nią stąpała Femka. W progu płakały dziewczęta; czeladź chodziła niema, wobec tej boleści przemówić nie śmiejąc.

Zwróciła się Sonka ku biskupowi, jakby od niego promyka nadziei oczekiwała.

— Przynoszę wam, miłościwa pani — odezwał się Zbyszek — choć małą pociechę, w tem nieszczęściu. Król przyzwala na to, abyście do Krakowa powrócili.

Ledwie usłyszawszy te słowa, z radosnym okrzykiem Sonka rzuciła się całować ręce biskupa. Wszystko męstwo stracone jej powróciło, oschły oczy, otucha w serce wstąpiła. W Krakowie ona mogła znaleść przyjaciół i obrońców.

W mgnieniu oka wieść o tem rozeszła się z ust do ust. Marszałek Zbigniew wyszedł też sam ją potwierdzić, dając rozkazy stanowniczym, woźnicom i dworowi... We wszystkich radość była niezmierna.

— Do Krakowa, do Krakowa! — powtarzano sobie...

Dodał biskup radę, aby królowa, nie widząc się już z mężem, natychmiast puściła się w podróż, zapobiegając jakiemuś nieprzewidzianemu wypadkowi, któryby na Jagiełły postępowanie mógł wpłynąć.

Natychmiast ochoczo dwór się zbiegł do wozów, do koni, i pobłogosławiona przez biskupa, który ją ocalił, Sonka wyruszyła z powrotem tąż samą drogą, którą niedawno przebywała tak wesoła.

W podróży tej zaraz pierwszego dnia, Femka dowiedziała się, nie mówiąc o tem swej pani, iż Hincza z Rogowa pochwycony został w ucieczce, a Jaśko z Koniecpola i dwaj Szczekocińscy uszli szczęśliwie.

Najsrożej obwinionym był Hincza, bo do niego Strasz miał największy żal i oczernił go, a okłamał wielce. Winny czy niewinny wnosili wszyscy, że gardło dać będzie musiał za to, że podejrzenie ściągnął na królowę.

Femka przez całą drogę usiłowała się dowiedzieć, gdzie uwięzionych zaprowadzono, lecz nikt nie był świadom o tem, jaki los ich spotkał.

W drodze królowa płakała ciągle... ale chwilami łzy jej osychały, a myśl pracowała nad tem, jakby zwycięsko z tej walki z potwarzą wyjść mogła. Moc ducha powracała, liczyła przyjaciół, na których rachować, ludzi, na których świadectwie oprzeć się mogła. Na czele ich stał ochmistrz Nałęcz Malski.

Poważnych niewiast wiele, które na zamku nieraz czasu zabaw bywały, żony senatorów i ich córki mogła wezwać na świadectwo, z samych domowników, urzędników na zamku liczba wielka, nie pozyskana dla królewnej, a przyjaznaa Sonce, przysięgą oczyścić ją pewnieby nie odmówiła.

Zeznania dwóch biednych, strwożonych dziewcząt Kasi i Elży Szczukowskich, gdyby mękami na nich wymożono fałsze, nie mogłyby przeważać świadectw ludzi poważnych i szanowanych powszechnie.

Nie wątpiła królowa, iż potwarz Witolda i mściwe względem niej postępowanie musi obudzić powszechne oburzenie. Książę liczył w Polsce popleczników i oddanych sobie ludzi, więcej jeszcze takich, którzy się go obawiali — lecz miłości nie miał u nikogo.

Prędzej teraz, przez królowę przyspieszana podróż z powrotem przyprowadziła pod mury Wawelu. Sonka przybyła tu wieczorem i zaciągnęła na zamek tak cicho, iż nazajutrz dopiero dowiedziano się w mieście o jej przyjeździe.

Poprzedziły tu ją wieści sprzeczne, przesadzone, uwłaczające jej, tak, że dziwiono się, iż nie na Litwę, ale do Krakowa odesłaną została. Znaczyło to, iż w sprawie, mianej już za straconą, zaszła zmiana szczęśliwa.

Ciekawość podbudzoną była, zaglądano na zamek, ale królowa chora, upokorzona, smutna, w obawie jeszcze tego, co Szczukowskie powiedzieć mogły, lub co na ich rachunek skłamać mogli słudzy Witoldowi, nie przyjmowała i nie widywała nikogo. Mszy słuchała w kapliczce zamkowej, nie wychodziła za próg, drzwi zaparła, jak w klasztorze.

Nie była przecież bezczynną, gotując się do uroczystego zmycia z siebie tej plamy, jaką rzucono na nią. Ochmistsrz Malski rozpoczął starania o to. Poważny zastęp osób ofiarował przysięgę... Czekano tylko, ażeby król powrócił, ostygnął i dał się przejednać. O to starać się miał Oleśnicki.

Hincza z innymi razem zaprowadzony do więzienia, niezręcznem pokuszeniem się o ucieczkę sobie i królowej zaszkodził. Lecz wprędce wzięty po raz drugi, odesłany został do Chęcin, z rozkazu króla zagniewanego nań wielce i wrzucony do tej strasznej ciemnicy na wieży, w której głodową śmiercią skończył Borkowicz.

Z wilgotnego tego podziemia, do którego światło i powietrze z góry tylko dochodziło przez szpary klapy zamykającej je, mało kto żywym wychodził. W zimie przez litość spuszczano tam czasem garnek węgli, aby skostniałe ciało mógł więzień cokolwiek ogrzać, lecz one otaczającej nie mogły osuszyć zgnilizny. Ci, których stąd uwalniano nie odzyskiwali już sił i zdrowia.

Wesoły i ochoczy Hincza był może pierwszy z zamkniętych w Chęcińskiej wieży, co nie stracił zupełnie nadziei, ani ochoty do życia. Młodość i nawyknienie do niewczasów trzymały go na nogach, krzepiły, a duch mocen nie dawał ciału zmarnieć.

Zwolna dopiero po upływie miesięcy, nieszczęśliwy więzień począł omdlewać i tracić otuchę; do ostatka przecież powtarzał niemym ścianom ciemnicy:

— Żywli wyjdę, nie spocznę i nie odetchnę, póki tu Strasza na miejsce moje nie posadzę.

Nie wątpił Hincza, że nie kto inny, tylko Strasz Witoldowi zaniósł do uszu te potwarze, a choć siedział na dnie, zaparty drzwiami z góry, które się raz tylko odmykały, potrafił jednak jakimś cudownym sposobem dać znać królowej, iż nie na kim innym krzywdy swej poszukiwać była powinna, tylko na Straszu.

Inni się też domyślali, bo właśnie w tej porze Strasz zniknął i nierychło, jakgdyby u siebie tylko w Białaczowie bywał, zjawił się na służbę do królewnej Jadwigi.

Ale tu wiedziano już, jaki obrót przybrała sprawa królowej i jakie na niego padło podejrzenie, znalazł więc przybywszy zimne bardzo przyjęcie i nikt z nim przestawać nie chciał.

Niedługo więc pobywszy przestraszony, widząc, że prędzej czy później zemsta go nie minie, Strasz jak się tu pokazał niespodzianie, tak równie skoro zniknął.

Cała nadzieja była w tem, że Szczukowskie, które Witold miał kazać badać, ze strachu królowę swą obmówią i jego potwarz potwierdzą.

Z obawą oczekiwała królowa od nich wiadomości. Stało się jednak inaczej, niż przewidywano. Rachował Witold na to, że siostrzenicę król mu na łaskę zda i odeśle. Gdy go wieść doszła, że królowa powróciła do Krakowa i o wyprawieniu na Litwę mowy nie było, wstrzymał się książę od ostatecznych kroków, widząc, że Sonka znajdzie w Polsce obrońców i środki oczyszczenia się od potwarzy.

Poprzestał więc na tem, że Szczukowskie obie na dworze księżnej Juljanny zatrzymał, a sam usprawiedliwiał swoje wystąpienie tem, że mu Strasz z Białaczowa przyniósł te powieści o życiu na Wawelu i imiona winowajców. Cebulka i Małdrzyk imię jego powtarzali, na niego zwalając wszelką winę.

Przewidzieć już było można zwycięstwo królowej, poza którą stały panie jej dworu, urzędnicy, małżonki senatorów i grono ludzi powszechnie szanowanych.

W jesieni przyszło na świat dziecię boleści, drugi syn Kazimierz, którego biskup krakowski Zbyszek w ciszy i bez owych uroczystości, jakie chrzcinom pierworodnego towarzyszyły, ochrzcił na Wawelu.

Oczekiwano tylko przyjścia do zdrowia i sił królowej, aby ona wraz z obrońcami swymi stanąć mogła przed najdostojniejszymi panami radą i przysięgą zmyć z siebie potwarz niepoczciwą.

Jagiełło nie pokazał się w Krakowie, sromał swej lekkomyślności, gniew jego zmienił się w żal i zgryzotę sumienia. Nie chciał się uznać, ale czuł się winny. Truło mu to życia ostatek. Zakopywał się w lasach, unikał ludzi.

Przewidzieć jednak było można, iż wkrótce zbliży się do Sonki, która wszystko gotowa była przebaczyć jemu, ale nie Witoldowi. Żadna odgróżka i przechwałka z ust jej nie wyszła, milczała poważna i smutna, ale patrząc na nią, można było odgadnąć, że na dnie jej duszy gromadzą się zasoby siły do nowej walki z nieprzyjacioły, z życiem, ze światem...

Los dwu synów był w jej rękach i na zranionem sercu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Jeżeli kochasz, kochaj sercem całem,
Miłości nie plam bezmyślnemi słowy.
Kochając, zawsze darz uczuciem stałem,
Inaczej nigdy nie zawracaj głowy!

A. St. B.

FR. LIPIŃSKI.

Wawrzek Dybczak.

(Nowela).

SCENA I.

Cicha, pachnąca, lipcowa noc księżycowa. Od czasu do czasu słychać z dali szczekanie psa lub echo ludzkiego głosu. Aleja lip ciągnąca się w dal, ginąca w poświacie księżyca, zakrywa drogę mleczną na niebie. Miljony blado iskrzących się gwiazd. Ciemność wionie zapachem pól, kwiatów, siana i drzew przydrożnych. Księżyc to chowa się za czarną kopułę drzew, to wygląda, i świeci błyszczącą kulą na tle szmaragdu haftowanego gwiazdami.

Weszli w aleję. Szli powoli, nie mówiąc przez chwilę nic do siebie. Hanka była podniecona wonią i miłosną przygrywką słów, co dopiero wyrzeczonych przez Wawrzka. Wawrzka unosiły myśli w różne strony, cieszyły i nie cieszyły.

Nagle Wawrzek przerwał ciszę.

— Gdzie pójdziemy? Tam niema poco pójść, wróćmy, już późno. Na dziś tego wystarczy.

— To wróćmy. Która godzina?

— Jedenasta.

— E, to ja pójdę. Ojcowie nie wiedzą, gdzie ja jestem, zrobią mi awanturę. Przyjdź wtedy, jak ci mówiłam. Przyjmą cię napewno, Wawrzku.

— A zobaczę. Aby tylko się ojciec nie sprzeciwił, bo matka twoja — to wiem — że dobra kobieta.

— Ta twoja straż będzie mi stała na przeszkodzie. Ojciec nie lubi strażaków.

— Bo nie rozumie straży. Szkoda gadać. Nie mów lepiej o tem. Zobaczę, co mi powiedzą. Kocham cię bardzo i chciałbym, abyś była moją żoną.

Ucałował ją, mówiąc te słowa. Objął ją ramionami silniej, i położył swoją głowę na jej ramieniu. Hanka z nadmiaru tej miłości była wzruszona. Byłaby zdolną sama rzucić mu się na szyję i całować do zapomnienia się — ale mitygowała się. Chciała okazać mimo swej gorącej miłości spokój zewnętrzny mimo, iż gorzała miłość w jej sercu wspaniałym płomieniem.

Doszli pod ogród. Spojrzeli w okno domu, — nie świeciło się. Rodzice Hanki spali. Koło ich nóg łasił się poczciwy pies Burek, zachowując się cicho, jakby nie chciał budzić starych, a młodym przerywać schadzki.

— Starzy śpią odezwała się cicho. Boję się iść do domu o tej godzinie. Dobrze, że nie świecą, dostałabym porządną burę od nich.

— Ależ nie bój się. Wejdź cicho, bez łoskotu, jak zawsze to robisz.

— Idź Wawrzku. Odchodzę.

Podała mu rękę. Ucałował na „dowidzenia“ jej poziomki ust.

— Zobaczymy się pojutrze, po wszystkiem, Hanuś — tu, w alei.

— Dobrze. Przyjdź! Pa!

Hanka na palcach podeszła ku drzwiom sieni, otworzyła je, założyła zasuwę, i cichaczem rozebrała się i położyła do łóżka, w kuchni. Starzy chrapali. Przez okno wpadał blask księżyca, że ciemna kuchnia tonęła w półmroku. Księżyca blask padł promieniem na młodą twarz Hanki. Odwróciła ją, bo bała się, iż ją wyprowadzi w pole jak lunatyczkę. Wierzyła w przesądy. Przez chwilę dłuższą nie mogła zasnąć. Myślała o Wawrzku. Może ten Wawrzek tak jej nie kocha jak ona jego. Pragnęła go posiadać. Jest gorącej krwi, młoda i tyle ma w sobie życia, że pochłonęłaby miłością swoją Wawrzka. Jutro decydująca chwila. Stanie się. Musi go mieć, choćby rodzice byli przeciwko niemu — pójdzie z nim.

Oczy skleiły się Hance i zasnęła.

Wawrzek szedł szybkim krokiem do domu. Zaciekawiło go to tylko, co mówiła mu Hanka w przededniu jego oświadczyn, o posadzie strażaka.

Co ich to może obchodzić? Czy to nie piękny zawód? Czy jest gorszy od kolejarza, policjanta lub pocztowca? O, wiele piękniejszy! Jutro oświadczy się. Jeśli przyjmą, będzie dobrze, jeśli nie — odejdzie z bólem w sercu. Nie potrafiłby przeżyć tego. Jest ładna, majętna, przytem dobra krawcowa — gospodarna, a takiej mu potrzeba żony. Jako strażak, nie może przebierać — musi sobie znaleść żonę odpowiednią do stanowiska. Małżeństwo, to wielka rzecz, tylko go ludzie nie rozumieją dobrze.

Wawrzek, mimo, iż był chłopakiem wiejskim, był urodziwym mężczyzną. Już młodzieńcem będąc, kochało się w nim „na zabój“ kilkanaście dziewuch wiejskich, ale był zimny dla nich. W czasie wojskowej służby stał się więcej piękniejszym, przystojnym i zyskał na męskości. Wysoki, barczysty i silny, o palących czarnych oczach, namiętny, zrównoważony, ambitny, o samodzielnej inteligencji i obejściu, zrobił wrażenie człowieka inteligentnego. Mówił z pewnem namaszczeniem i dostosowywał się gładko do otoczenia. Lubiły go wiejskie dziewczęta, ile razy nawiązał z niemi znajomość. Po wojsku wstąpił do straży ogniowej. Kochał ten zawód gorąco. Już w młodości myślał o wstąpieniu do szeregów strażackich. Myślał o dowodzeniu wielkim oddziałem w czasie pożaru, miał różne plany i głowił się nad wynalezieniem niezwykłych aparatów do gaszenia ognia. Mimo wszystko, nie mógł niczego dokonać, gdyż nie posiadał wykształcenia odpowiedniego.

Miał dobre serce. Kto wstępuje do Straży, musi mieć pobudki szlachetne, ludzkie i dobroć w sercu. Straż, jako czynnik walki z żywiołem — jest wielkiem posłannictwem na ziemi. Kto rozumie Straż — musi ją kochać i cenić.

Wawrzek miał za sobą parę bohaterskich momentów. Oto raz, gdy paliła się karczma żydowska we wsi, wyratował znienawidzonego żyda z palącego się domu, pomimo iż ojciec u niego stracił połowę swego majątku. Ratował go jako: c z ł o w i e k a. Rozumiał ten cel. Razu pewnego wyratował tonące dziecko w czasie powodzi, jaka nawiedziła podgórską, biedną wioszczynę. I wiele innych dobrych rzeczy uczynił, lecz krył się ten cichy bohater z tem przed ludźmi, którzy, albo wierzyliby w to, lub wyśmiali się, nazywając go bohaterem-chwalcem.

Szedł drogą i myślał poważnie o Hance i o przyszłości. Jutro czeka go wielka chwila, która wyzwoli go z tej niepewności. Nie uczuwał żadnej bojaźni przed małżeństwem. Zna się z Hanką potajemnie wprawdzie drugi rok, ale nie widzieli go zupełnie i dziwacznie napewno przedstawiają. Jutro Hanka przygotuje grunt — a on przyjdzie i będzie wszystko dobrze.

Wawrzek mieszkał na przedmieściu. Straż ogniowa przydzieliła mu mały pokoik w budynku głównym. Miał skromne meble. W tyle, za okazałym budynkiem Straży, na którym to widniała płaskorzeźba przedstawiająca św. Florjana gaszącego pożar, stał olbrzymi magazyn przyrządów pożarniczych, nieczynnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

URATOWANA Z NIEWOLI.



Było to w roku 1830. Do pewnej wsi nad Bugiem wpadli uciekający przed szablami polskiemi żołdacy rosyjscy i poczęli po swojemu gospodarować, paląc i rabując. Po kilku godzinach takiej gospodarki wieś cała znajdowała się w zgliszczach, a mienie włościan znalazło się w rękach najeźdźców. Zdawało się, że nic nie ocaleje z tego krwawego najazdu.

Już mieli napastnicy opuszczać miejsce swego czynu zbrodniczego, gdy nagle zabrzmiały strzały karabinowe. Na horyzoncie zjawiła się patrol drugiego pułku ułanów polskich w liczbie 30. Zobaczywszy, co się dzieje, ułani pozsiadali z koni, uwiązali je w lasku i zaczęli strzelać na wroga. Ten licząc jednak na większą swoją siłę, stanął do walki i rozpoczęła się obustronna strzelanina.

Podczas bitwy ułani spostrzegli, że na uboczu, na wozie, między zrabowanym dobytkiem ludzkim, mają Moskale uwiezioną jakąś pannę polską, młodą i urodziwą. Jeden z nich zbliżył się niespostrzeżenie do wozu i ku swojemu ździwieniu poznał w uwiezionej córkę swego pułkownika, który był właścicielem dworku w Bojarowie. Giestem przywołał jednego z towarzyszy, we dwóch rzucili się na gromadę moskiewską otaczającą tabor, rozpędzili znajdujących się tam Moskali, a schwyciwszy pannę na ręce, dosiedli z nią konia i puścili się przez zagony i pola, byle jak najdalej znaleźć się od wroga. Towarzysze ich, ujrzawszy co się dzieje, tem zażartszy szturm przypuścili do Moskali i wkrótce stali się panami boju, kładąc jednych trupem, drugich goniąc bez miłosierdzia przed sobą. Dzielni ułani ocalili tym sposobem nietylko biedną panienkę, ale i wielu włościan, którzy byli powiązani, a których mieli wywieźć w głąb Rosji.

Obrazek nasz, malowany przez artystę malarza Masłowskiego, przedstawia chwilę ucieczki ułanów z panną pułkownikówną.

Królewna Dola!

Gdzie Ty jesteś Dolo jasna? Dlaczego od nas odeszłaś? Czyś Ty Dolo hen za chmury poszła, czy za morza, czy za lasy — góry — czyś Ty Dolo na dnie wody, czyś przykuta do skały? O przyjdź Dolo! przyjdź do nas! Niech nam zakwitną serca, niech radość zagra w żyłach. Wróć, wróć! Oj niema kochanej Doli niema! A Dola poszła na górę, na wysoką, skąd widać było cały kraj — jak dywan rozłożony u jej stóp. Widziała rzeki piękne, potoki, aż hen do morza. Widziała wsie, miasta — słyszała śpiewy. Wsłuchiwała się królewna Dola w owe śpiewy, co jej wiatr przynosił. Powoli, powoli, twarz jej zasunął smutek, w cudnych oczach urodziła się łza i spadła na ziemię. A za nią potoczyło się dużo innych. Królewna zaczęła płakać.

A wiatr donosił do jej uszu co rok smętniejsze odgłosy. Słyszała ból, słyszała żal, słyszała krzywdę. Ci ludzie wzywali Doli słodkiej. Bo im źle bez niej, bo jeno bieda, bo głodni, bo ich gniecie nędza, ciemnota i wyzysk... A wiatr znów przyniósł do uszu nową pieśń. Może Ciebie Dolo nasza jaki wróg pokonał i zakuł w żelazne obręcze i gdzieś w podziemiach ciemnych bez słońca trzyma?

O Dolo, Dolo jasna, daj znać na skrzydłach wiatru, na fali wodnej, na chmurce białej, lub piorunem, albo błyskawicą — a wnet ruszymy po Ciebie. Dolo, Dolo szczęśliwa. A Dola, słysząc to, zapłakała poraz drugi

Tu znowu wiatr przynosi jej:

— Dolo! życie nasze ciężkie, bieda coraz większa, wśród nas niezgoda, nienawiść coraz większa, a my bezradni, trwożni i błędni, a wróg nam wysysa krew.

Takie pieśni smętne nosił wiatr do uszu królewnie Doli, a łzy po raz trzeci zaczęły spadać na śliczne jej lica. Wzniosła ręce w górę i krzyknęła:

— Byłam ja w niewoli ciężkiej, alem już wolna i idę ku Wam. Dusił mnie sen wielki, ale zbudził mnie Wasz płacz, Wasza praca, zbudziło mnie Wasze szukanie.

I szła Dola słodka, a zobaczyła chłopa orzącego, otworzyła usta cudne i rzecze:

— Błogosławiona niech będzie twa praca, ta rola niech wyda plon, morze kłosów pełnych, niech ci urodzi kopy i stogi. Błogosławiona twa praca, bo z niej bogactwo, bo ona utrzymuje wszystkich ludzi. Niech gradowa chmura nie idzie na twoją rolę, niech deszcz przychodzi wczas i niech ci słońce grzeje plon.

I poszła Dola dalej do tych, co jej oczekiwali.

— Wyście pragnęli Doli, Wy, czyści na duszy. Oto Waszam — moja siła, to Wy, moje życie, to Wy. Ale moja moc zależna od Waszych serc. Bo ja, Wasza Dola, a Wy moja Dola. Jeżeli Wy dobrzy, jeżeli jedni, tom ja wówczas silna jak morze, potężna jak góry. Błogosławię Was szczęściem, zdrowiem i bytem. Bom ja jest spokój, bom ja jest Oświata, bom ja jest praca, jam jest wesołość i zdrowie, urodzaj i światło, spoczynek, piękność, śpiew i muzyka. Jeżeli Wy mnie pragniecie sami, jeżeli wśród Was panuje życzliwość, prawda i łączność, to wtedy ja panuję wśród Was, jak topola nad sadem. Jam wróciła do Was, nie dajcież mi już odejść od Was. Czuwajcie nad sobą, nie dajcie posłuchu wrogowi, co Wam z duszy kradnie prawdę, a sączy jad niezgody i zamieszanie wśród Was wnosi. Nie dajcie posłuchu tym, co Was ciągną na złe. Ja wtenczas silniejsza, gdy Wy żyjecie sprawiedliwością. A żeście mnie szukali, że mnie pragniecie, tęsknicie za mną, tom przyszła i wyciągam ręce moje ku niebu i błogosławię Wam... Niech ziemia Wasza rodzi pełne kłosy zbóż, niech Wam zarodzi sad, niech rosną zdrowo Wasze dzieci, niech pożar ani powódź nie trafi do Waszych chat i pól, niech do Was nigdy nie zajrzy smutek, ani głód... Ale proszę Was, byście swojej Doli nie puścili z rąk, byście nie znali niezgody, pragnęli swobody, nauki i pracy. Wtedy ja — Wasza — i nigdy nie oddejdę od Was.

Bom ja królewna — Dola, Wasza Dola...

Maryśka z Kamionki.



MACIEK BZDURA GADA:

Nas prefesur to okrutecnie pracowity człowiek. Bo to, ze ucy dziecka w skole, to się mu dziwić nie mozna, bo musi, ale on cy trza, cy nie trza, to wszendzie i zawse ucyć lubi. Wkiejsik zuźrał mnie, jak się mi tak niechcący moja gęba przytuliła do gęby Magdy Zającówny. Inksy bezinteresowny człowiek odwróciłby się na odwrotną stronę i nicby nie rzek, a prefesur zaraz przysed i do mnie pada:

— Słuchaj Maciuś, kto brzydką pocałuje, podwójnie ten grzeszy i Boga obraża bliźnich tem i śmieszy.

Moze być, że i miał rację, bo przecie śmich bierze, jak się byle jakie pudło całuje, a chyba i Panu Bogu to nie miłe, jak cłek widzi tyle ładnych pyscków, a byle do cego się bierze. Ale jeśli się Pan Bóg obraza, jak się brzydkie całuje, to co robi, jak się ładną pocałuje? Pytałem się o to prefesura,, ale on mnie odesłał do jegomości, padając, ze jegomość na takich rzecach religijnych lepi się rozumią. Za to prefesur rozgadał się i powiada:

— Choć ci tamtego nie mogę powiedzieć, to powiem ci wiele inksych rzecy, które ci się na tem i na tamtem świecie przydadzą. Naprzykład, cy wis, po cem się poznaje dobrą kobietę? Nie wis? Ano kosiarza poznaje się po kosie, a zonę po kosuli męza.

— Jakże to — padam.

— Ano tak — prawi prefesur. — Jak mąż ma całą kosulę, to się zaraz wi, że jego żona jest kubitą nietylko pracowitą i ochędogą, ale ze dba o swego źgaca, a jak dba, to wiadomo, ze go miłuje.

— No, niby tak, myślę se. Ale jak ten chłop, mimo pracowitości kobity, kosule se zaflajdzi, to co?

—Casem winien chłop, ale padam ci, że przeważnie w małżeństwie winna jest kobita, bo mężczyźni rządzą światem, a nimi kobity. Mężczyzna rządzi światem, a domem kobity. I wiadomo, ze takim jest świat, jakiemi są mężczyźni, a takiem jest dom, jaką jest kobita. Bo trzeba wiedzieć, że dom nie stoi na ziemi, ale na kobicie, choćby domem tym była największa kamienica. Dobra żona buduje swój dom, ale głupia burzy go. A cy wis, ile warta dobra żona dla męża? Najgorsa warta jest zawse jednego złotego, a dobra pół zycia, ale i po śmierci potrzebna, bo trza ci wiedzieć, że do raju nigdy sam mąż nie wejdzie. Zreśtą mniejsza z rajem, bo kto ma dobrą żonę, nie potrzebuje wzdychać do raju.

— No, a jak kto ma nieprzymierzając, złą?

— Wtedy jest gorzej — pada prefesur. Bo żona więcej potrafi wynieść w fartusku, niż mąż do domu worem przeniesie! Mąż może przynosić obiema ręcami, a żona wyniesie to jednem palcem. Najgorzej jest tam, gdzie całą panią domu jest żona, bo gdzie kura pieje, a kogut milcy, tam dobrze być nie moze. A lepiej nie mieć wcale żony, jak mieć głupią. Zreśtą prawie kazda będzie głupią, jak się całkiem na nią nie uwaza. Bo przecie wiadomo, że kobita przedkłada lustro nad obrazek świentego, a chorą być potrafi 13 miesięcy w przeciągu jednego roku. A z babami trudna rzec, bo kuzda z nich posiada pełną torbę łez i śmieje się, kiedy może, a płace, kiedy chce.

Choć mi to gadanie prefesura sło prościutko do serca, to jakosik wydawało się mi ono nie tak całkiem prawdziwe. Bo przecie wiadomo, ze są tacy i tacy ludzie, to i kobity, jako stworzone na obraz i podobieństwo człowieka, nie wszystkie bywają jednakowe. Ale prefesur, jako człowiek wszyćko wiedzący, bo przecie wiadomo, że zna on nietylko małe, ale i wielkie abecadło, tak mi powiada:

— Wszyćkie one, Maciuś, wszyćkie są jednakowe. A ze się casem ta i tamta wydaje inaksa, to nie od nich to zalezy, ino od nas, jak się na nie patrzymy. Kuzda z nich to kieby ta pajęcyna, która jesienią w powietrzu się unosi. W tę stronę pójdzie, w którą ją wiatr poniesie. I choćbyś na łbie stawał, to ich nie odmienis, bo wszyćkie one się jednakowe porodziły i jednakowe umrą.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

19. Wyprawa don Ramona.

Możemy już teraz być spokojni o los Dika i Cezara; powróćmy zatem do owej gromadki wędrowców, która pod wodzą don Ramona de Saavedra i myśliwca Johsona wyruszyła na spotkanie Rafaela w głąb puszczy.

Ponieważ podróż trwała już dość długo bez przerwy, a wierzchowce i muły juczne bardzo były pomęczone, pomimo niecierpliwości don Ramona, na wniosek Johsona postanowiono zatrzymać się na kilkodniowy odpoczynek.



Potężnym susem puścił się do Karmeli.

W krótkim przeciągu czasu w pustkowiu leśnem stanęło kilka szałasów; najwygodniejszy z nich przeznaczony był dla Karmeli, która doskonale znosiła trudy podróży. Młoda dziewczyna miłem swem obejściem i wdziękiem nieporównanym wkrótce pozyskała wszystkie serca; szczególnie ponury i milczący Johnson był wielkim jej wielbicielem. Jego nieustanna troskliwość, przezorność i doświadczenie niemało też przyczyniły się do zmniejszenia niewygód, przykrości wszelkiego rodzaju, nieodłącznych od tak długiej podróży.

Tegoż samego dnia, gdy karawana rozłożyła się obozem w dolinie, Karmela z ojcem i Johsonem wybrała się przed wieczorem na małą wycieczkę w okolicę. Jadąc wybrzeżem rzeki, z przyjemnością spostrzegła w wodzie niezmierne mnóstwo ryb większych i mniejszych.

— O, patrz pan, — panie Johnsonie — wołała — jak tu w tej przeźroczystej wodzie doskonale widać rybki. Jaka szkoda, że nie mamy wędek, takbym je chętnie łowiła.

— Poradzimy na to, panno Karmelo — rzekł myśliwiec swym zwykłym lakonicznym sposobem.

— Skądże pan tu dostanie wędkę?

— Sporządzę. Odrobinę włosa, gałązkę klonową i kawałek sznurka potrafię przecież i tu znaleść.

— A cóż to pan tam oglądasz? — zapytał don Ramon myśliwca, który pochylony nad ziemią pilnie się czemuś przypatrywał.

— Nic — odpowiedział krótko Johnson, lecz nagła zmiana wyrazu jego twarzy nie uszła oczu don Ramona ani jego córki. Zdawał się wzruszony i zaniepokojony.

— Czyś pan odkrył coś niemiłego? — odezwała się z kolei Karmela.

— Nie, nie, ale wolałbym, aby mię nie pytano — odpowiedział chmurząc brwi myśliwiec. — Wracajmy — dodał po chwili i nie zwracając uwagi na zdanie innych, zawrócił konia w stronę obozu. Ojciec i córka nie mogli odgadnąć, co nagle w taki zły humor wprawiło Johnsona, nie pytali jednak więcej, znali już bowiem jego dziwactwa, i wiedzieli, że jeżeli uparł się milczeć, nie dowiedzą się nic więcej od niego.

Gdy tylko powrócili do obozu, myśliwiec zaczął bardzo starannie oglądać swoją strzelbę. Rozebrał ją, poodczyszczał wszystkie sztuki, ponapuszczał oliwą i złożywszy ją napowrót, jeszcze raz na wszystkie strony obejrzał. Późnym wieczorem wziął tak odczyszczoną broń na plecy, a na zapytanie don Ramona, czy myśli dziś jeszcze polować, odrzekł krótko:

— Tak, upatrzyłem zwierza.

I puścił się brzegiem rzeki w tęż samą stonę, gdzie przed wieczorem był z don Ramonem i Karmelą. Po chwili znikł pomiędzy drzewami. Gdy o godzinie dziesiątej dopiero powrócił do obozu, twarz jego była jeszcze posępniejsza, niż zwykle. Nazajutrz o świcie odszedł znowu i powrócił aż o południu, wcale nie w lepszem usposobieniu.

— Cóż będzie z moją wędką, panie Johnsonie? — spytała Karmela.

— Ach, prawda, obiecałem panience wędkę; zapomniałem o tem. Czy to naprawdę panna Karmela myśli łowić ryby?

— Naprawdę. Ale nie chciałabym panu bynajmniej kłopotu przyczyniać, wolałabym wyrzec się wędki...

— No, niewielki kłopot, będzie panienka miała wędkę; ale pójdziemy chyba we dwoje na te ryby?

— Pocóż mam panu czas zabierać? — czy to ja sobie sama nie dam rady?

— Jak tam sobie panienka chce — mruknął myśliwiec po chwili namysłu.

W godzinę potem przyniósł przyrząd, mogący zastąpić najlepszą wędkę, chociaż niezbyt wykwintnie wyglądał. Oddał także Karmeli mały koszyczek z robakami na przynętę; zabrawszy te przyrządy młoda dziewczyna przed wieczorem poszła sama w górę strumienia, póki nie upatrzyła dogodnego miejsca do łowienia ryb. Rzeka w tem miejscu tak się zakręcała, że tworzyła półkole; Karmela, siedząc nad jednem jej ramieniem, drugie miała wprost za plecami. Młoda dziewczyna zajęła się gorliwie połowem i nie zważała na nic, co się dokoła niej działo.

Po niejakim czasie jednak podniosła nagle głowę i wytężyła słuch. Usłyszała była taki plusk wody, jak gdyby w pobliżu pływał człowiek lub większy jaki zwierz. Odgłos ten odzywał się z tej części rzeki, którą miała poza plecami, a chociaż się odwróciła, nic dojrzeć nie mogła, gdyż wybrzeże w tem miejscu porosłe było drzewami i gęstymi krzakami. Karmela

zaniepokojona wstała i szybko pobiegłszy do brzegu, przeszła przez zarośla; spojrzała na rzekę, której całą szerokość teraz miała przed sobą, i spostrzegła odrazu wielkie zwierzę, płynące właśnie w jej stronę. Już było niedaleko od niej i Karmela, strwożona tym widokiem, krzyknęła przeraźliwie. A przestrach jej był najzupełniej usprawiedliwiony: miała przed sobą drapieżnego jaguara, najniebezpieczniejsze ze wszystkich zwierząt amerykańskich. Położenie Karmeli było okropne: znajdowała się w głębi owego półkola, opasanego zakrętem rzeki, a zwierz zmierzał właśnie do miejsca, gdzie wyskakując na brzeg, przecinał jej jedyną drogę ucieczki.

Karmela była odważna i przytomna; nieraz już śmiało stawiła czoło rozmaitym niebezpieczeństwom, ale obecne spadło na nią tak gwałtownie i niespodziewanie, że na chwilę od zmysłów prawie odeszła i dreszcz niewypowiedzianej trwogi przeszedł ją od stóp do głowy. Upłynęła krótka chwila straszliwego oczekiwania; zwierz wreszcie dopłynął do brzegu i wdrapał się nań z łatwością, czepiając się pazurami nadbrzeżnych krzaków, poczem potężnym susem na ląd wyskoczył i puścił się wprost do Karmeli. O kilka kroków od niej przystanął z głową wyciągniętą, paszczą rozwartą i oczy nieco przymrużone, błyszczące, jak rozpalone węgle, utkwił w drżącej dziewczynie. Potem powoli wyciągnął się na trawie i zaczął bić ziemię ogonem. Karmela wiedząc, że drapieżny zwierz tym sposobem gotuje się do skoku, nie wątpiła, że wybiła jej ostatnia godzina. Myśl dziewczyny wzniosła się ku Temu, bez którego woli włos nawet nie spada człowiekowi z głowy, błagając Go gorącą modlitwą o ratunek lub o skrócenie męczarni. Ta straszliwa chwila wiekiem jej się wydała.

Jaguar poruszywszy grzbietem, przymknął oczy tak, że małe tylko iskierki błyskały z pod powiek spuszczonych, i już miał skoczyć, gdy nagle rozległ się huk palnej broni. Zwierz ze straszliwym rykiem przewrócił kozła, podniósł się jednak i ze wściekłością usiłował podpełznąć do Karmeli, chociaż zaledwo poruszyć się zdołał. Lecz nawet i w takim stanie byłby mógł jej jeszcze niemało złego zrobić; gdyby w tej samej chwili nie nadbiegł Johnson z nożem myśliwskim w ręku. Myśliwiec wyglądał tak, jakim go Karmela nigdy jeszcze nie widziała: oczy jego rzucały błyskawice, rysy zmienione były do niepoznania. Ze zwinnością, zadziwiającą w człowieku niemłodym i nieco ociężałym zwykle, przyskoczył do jaguara, wyprzedził go i stanął przed nim, czem uwagę zwierza na siebie zwrócił i Karmelę od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronił; po chwili podniósł nóż i po samą rękojeść wbił go w bok potworu. Jaguar wywrócił się na wznak, lecz jeszcze wściekły wywijał łapami. Myśliwiec wyciągnąwszy nóż po raz drugi wbił go w inne miejsce, i powtarzał to kilkakrotnie, chociaż zwierz już się nie poruszał. Jak gdyby w napadzie nagłego obłędu, raz poraz przebijał nożem ślepia, paszczę rozwartą, wszystkie części ciała zwierzęcia; oczy myśliwca błyszczały przytem dzikim płomieniem, ciężki oddech pierś mu podnosił, i piana wystąpiła na usta. Karmela z przerażeniem patrzała na tego człowieka, który sam teraz do dzikiego zwierza był podobny.

W końcu jednak szał ten przeminął, — namiętne wzruszenie uspokoiło się zwolna. Johnson westchnął głęboko, a odstąpiwszy od jaguara, włożył nóż za pas i otarł pot z bladego śmiertelnie czoła.

— Ach! — panienka tu jest — rzekł z cicha, jakby zakłopotany; widocznie w straszliwem rozdrażnieniu zapomniał był nawet o obecności dziewczyny. — Przepraszam pannę Karmelę za ten przykry widok...

— Za cóż mnie pan przepraszasz? Uratowałeś mi życie, nigdy ci tego nie zapomnę; o, panie Johnsonie, ileż ja panu wdzięczności będę winna!

Karmela ochłonęła tymczasem z przerażenia, a twarz myśliwca przybrała znów zwykły wyraz posępny lecz spokojny.

— Żadna mi się tu wdzięczność nie należy — odrzekł — dogodziłem sobie, ho! dogodziłem. Wczoraj jeszcze przed wieczorem dostrzegłem śladów tego.. potępieńca. Kiedy panienka uparła się bezemnie iść na ryby, poszedłem cichuteńko w tę samą stronę, bo przeczuwałem nieszczęście. Dzięki Bogu, że mi się udało przybyć w porę.

— O tak, zjawiłeś się pan w samą porę, jak narzędzie Opatrzności — rzekła Karmela, wyciągając do niego rękę.

— Nie mołem strzelić wcześniej — mówił jakby tłumacząc się myśliwiec — musiałem czekać, póki przeklęty hecarz nie przysiądzie do skoku. Raz tylko pospieszyłem się zbytecznie w podobnej chwili, raz jeden w życiu... — tu umilkł i wyraz niewypowiedzianej boleści rozlał się na jego twarzy. Lecz siłą woli pokonał to wzruszenie i mówił dalej: — Chodźmy już, panno Karmelo, trzeba panience wypocząć po tym okropnym przestrachu.

— Dobrze, chodźmy do obozu — odrzekła dziewczyna, opierając rękę na ramieniu myśliwca — ale chciałabym pana o coś zapytać, panie Johnsonie, jeżeli zasłużyłam na ufność i życzliwość pańską.

— Czyż panienka może wątpić o tem? — odrzekł Johnson, postępując wraz z nią w stronę obozu.

— A więc, powiedz mi pan, czy mię przeczucie serca nie myli? zdaje mi się, — prawie pewna jestem — że pan masz jakiś ciężki smutek, panie Johnsonie.

— Odgadłaś trafnie, panno Karmelo, mam na sercu ciężki smutek, straszliwe mię dotknęło nieszczęście. Zwierzyłem się już raz przed bratem twym, panienko, zwierzę się i przed tobą. Posłuchaj...

Poszli dalej, a myśliwiec, odzyskawszy już zwykły swój spokój, opowiadał w te słowa:

— Ojczyzną moją jest Szkocja. Młode lata spędziłem w pięknej wiosce górskiej nad brzegami Klydy. Słyszałem od ludzi, że jeżeli komu się nie wiedzie w ojczyźnie, może lepszy los znaleźć na drugiej półkuli i wraz z innymi puściłem się za ocean. Dostałem się do Kalifornji i zostałem poszukiwaczem złota. Nie żałowałem trudu: dzień i noc motyki nie wypuszczałem z ręki i wiodło mi się nieźle, — dorobiłem się majątku. Wkrótce ożeniłem się. Śliczna była i dobra moja żona — wiedliśmy życie tak szczęśliwe...

Tu nagle umilkł myśliwiec, jakby mu głosu zabrakło w piersi. Po chwili dopiero potarł ręką czoło i mówił dalej:

— Pan Bóg nam dał dziecinę, ślicznego chłopczyka. Rósł zdrowo, podobiuteńki był do matki; dałem mu imię Allan. Miał lat dziesięć zaledwie, a już z lekkiej strzelby palił tak celnie, jak stary myśliwiec. Nic dziwnego, był przecież moim uczniem... Ale czy to on tylko strzelał celnie? Co to za chłopak!... ach, co za chłopak!...

Ciche łkanie przerwało znów mowę myśliwca. Milczał przez chwilę i gwałtownie tarł ręką czoło, poczem znów opowiadał spokojniej:

— Było to w wigilję urodzin Allana. Chcąc mu przygotować jakąś niespodziankę wybrałem się konno do miasta, po sprawunki. Obiecałem żonie powró-

cić tegoż samego dnia wieczorem. I dotrzymałem słowa; jeszcze się nie ściemniło, gdy już byłem o pół godziny drogi tylko od domu. Przebyłem niewielki lasek i dostałem się na odkrytą łączkę, — wtem ujrzałem o jakich pięćdziesiąt kroków przed sobą skradającego się jagura. Poznałem odrazu, że zbój musiał mieć już jakąś upatrzoną zdobycz. Zacząłem się rozglądać pilnie dokoła i wkrótce spostrzegłem na samym skraju lasu leżącą u stóp drzewa postać ludzką. Podjechałem bliżej; jakież było przerażenie moje, gdy poznałem mego chłopca, mego Allana, śpiącego spokojnie pod drzewem. Spiąwszy konia ostrogami, popędziłem za jaguarem, poczem zeskoczyłem na ziemię, jak szalony i strzeliłem... Niestety! straciłem głowę;ręka mi drżała, — jaguar był w pełnym biegu, czyż mogłem wymierzyć, jak należy? Trafiłem wprawdzie, lecz zraniłem tylko lekko zwierzę i doprowadziłem je do wściekłości. Gdybym był poczekał, aż przysiądzie do skoku... Ale ja głupiec, szaleniec, pośpieszyłem się; jaguar ryknął i biegł nie zatrzymując się prosto do chłopca .Widziałem, jak Allan przebudzony zerwał się na równe nogi i chwycił strzelbę, którą miał przy sobie, lecz nie miał czasu strzelić; po chwili leżał na ziemi, przyciśnięty łapami drapieżnego zwierza. Wszystko to stało się w mgnieniu oka, nim zdążyłem na nowo strzelbę nabić. Przyskoczyłem wprawdzie i przyłożywszy otwór lufy do ucha potworu, wypaliłem; tym razem padł trupem, lecz konając nawet nie wypuścił chłopca ze straszliwego uścisku. Pazury jego wpiły się tak głęboko w ciało mego Allana, że gdym to ciało skrwawione oderwał i podniósł... było już martwe... trzymałem na ręku trupa jedynego dziecka...

Gwałtowne łkanie wyrwało się z piersi myśliwca, Karmela także płakała rzewnie, ściskając jego rękę w swych dłoniach.

— Niewiele mi już pozostało do opowiadania. We trzy miesiące potem szedłem za trumną żony. Gwałtowne wzruszenie dnia tego podkopało wątłe jej zdrowie, a zgryzota ostatecznie ją dobiła. Pochowawszy ją, oddałem posiadłość w ziemi rodzinie nieboszczki, a gotówkę odesłałem do Szkocji ubogim krewnym. Zostawiłem sobie tylko kilka dolarów, strzelbę i przybory myśliwskie i wypowiedziałem wojnę zawziętą wszystkim braciom piekielnego zbója, który zniweczył moje szczęście. W ciągu lat kilku zabiłem już niemało tych drapieżników; nie brak ich w Meksyku, mogłem więc sobie dogodzić. Nigdy jednak nie strzelałem inaczej, tylko w chwili, gdy zwierz przysiada do skoku, czy na mnie samego napadając, czy na innego człowieka, czy na zwierzę. Panienka spostrzegła, jaka mnie wściekła złość ogarnęła, gdym tego jaguara trupem położył. Nie zdołam powstrzymać się od tego nigdy, ile razy spotkam się oko w oko z takim potworem. Ale i moje żelazne zdrowie nie mogło przetrwać tych okropnych wstrząśnień, póki się częściej powtarzały; zachorowałem w końcu i o mało życiem nie przypłaciłem namiętnych porywów. To mię upamiętało; zaprzestałem zawziętego tępienia jaguarów i wyniosłem się nawet naumyślnie w okolice, gdzie rzadko je mogłem napotkać. Gdy jednak przypadek sprowadzi na moją drogę przeklętego zbója, szał mnie ogarnia, — przestaję być panem siebie... Skończyłem, panno Karmelo; teraz już panienka wie, jaki jest powód mego smutku i dlaczego tak się zapomniałem po zabiciu jaguara, za co przepraszam raz jeszcze.

Karmela upewniała go serdecznemi słowy, że nie ma mu nic do przebaczenia i starała się okazać nieszczęśliwemu swoje współczucie.

Po kilkudniowym odpoczynku karawana wyruszyła w dalszą drogę; podróż trwała bez przerwy prawie kilka tygodni, nareszcie wędrowcy, posunąwszy się znacznie ku północy, przybyli do znanej nam z rozdziałów poprzednich okolicy, gdzie stała dawniej osada Wattsona. Pewnego wieczora Johnson oddalił się zwyczajem swoim ze strzelbą na plecach, chcąc upolować świeżą zwierzynę i stanął za drzewem na brzegu małej polanki, na której spostrzegł był ślady jelenia. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast oczekiwanej zwierzyny ujrzał wychodzącego z zarośli młodziutkiego chłopca, niosącego także strzelbę na plecach. Johnson nie zaraz wyszedł ze swej kryjówki, gdyż chciał wprzód przypatrzeć się lepiej temu myśliwcowi. Gdy chłopak, nie spostrzegłszy obecności jego, przechodził zwolna przez środek małej polanki, Johnson zauważył, że był nadzwyczajnie blady i mizerny i szedł krokiem niepewnym, jakby się nogi pod nim chwiały. Chłopiec ten wreszcie usiadł pod drzewem i ukrywszy twarz w dłoniach począł łkać głośno jak dziecko.

— Żal mi biedaka — mruknął myśliwiec sam do siebie — radbym wiedzieć, dlaczego on sam jeden wałęsa się po lesie i tak rozpacza?

Mówiąc to, wyszedł z za drzewa i zaczął kasłać głośno, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę chłopca. Jakoż, w rzeczy samej ten ostatni zerwał się na nogi i pochwycił strzelbę.

— Dajno pokój strzelbie, mój kochany — rzekł myśliwiec — ja nie mam żadnych złych zamiarów. Na te słowa wyraz żywej radości zajaśniał na twarzy biednego chłopca, który postąpił parę kroków naprzeciw myśliwca.

— Co ty tu robisz sam jeden w puszczy? Czyś zabłądził? — zapytał Jonhnson.

— Tak, mój dobry panie, zabłądziłem — odrzekł chłopiec.

— Skądże ty jesteś?

— Nie mam domu, Indjanie dom mój rodzinny spalili... — i chłopiec westchnął żałośnie.

— O, biedny chłopcze. — wykrzyknął myśliwiec ze współczuciem — jakże się nazywasz?

— Ben Wattson.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Podaj mi dłoń!

Poecie z ludu, Robertowi Rydzowi, w szczerym podziwie.

Podaj mi dłoń na wspólny lot
W krainę słońca, złud...
Niech nasza pieśń, by głośny grzmot,
Drzemiący budzi lud!

Nieznanyś mi — choć znana twarz...
Jednak Cię — druhem zwię.
Żeś polny kwiat, że w sobie masz
Twórczego ducha — wiem.

Choć dzieli nas oddali szmat —
Dla naszych myśli, dusz
Nieznaną dal... więc, jeśliś brat —
Piosenkom moim wtórz!

Podaj mi dłoń i z moją spleć,
Jako serdeczny druh;
Podaj mi dłoń i ze mną leć —
Bo milej lecieć w dwóch...

Albatros.



Nowe wynalazki z dawnych czasów.

Wiele w czasach ostatnich mówi się o szalonych postępach techniki, przyczem sądzi się„ że dopiero obecnie ludzkość poznała szereg wynalazków i udogodnień techniki. Tymczasem historja poucza nas — jak o tem świadczy bardzo ciekawa, a niedawno wydana książeczka — że wiele wynalazków, które obecnie wydają się nam fenomenalną nowością, znano już dawno: w starożytności lub w średniowieczu.

Za wynalazcę fonografu i gramofonu uchodzi Edison. Tymczasem mówiące automaty budował już Albertus Magnus (1193—1280), Roger Bacon oraz inni. Jeszcze bardziej do dzisiejszego fonografu miała się zbliżać „mówiąca maszyna" cesarskiego radcy von Kempelena, którą opisuje dokładnie niejaki Halle w dziale „Magja lub cudowne siły natury" (Berlin 1785). Ta maszyna była to skrzynka długa na dwanaście cali, szeroka i wysoka na dziesięć cali, w której mieścił się tajemniczy mechanizm. Miech doprowadzał powietrze do ukrytej maszynerji. Dwa otwory w nakrywce skrzynki pozwalały rękom dostawać się do wnętrza i wykonywać odpowiednie i potrzebne ruchy i zabiegi. Głos, wydawany przez maszynę, był podobny do mowy dziecięcej. Halle przysięga, że nie było mowy o jakiemś oszustwie.

Inny przykład. Pióro miało zostać wynalezione dopiero w trzecim dziesiątku dziewiętnastego wieku. Przedtem miano używać tylko piór gęsich. Tymczasem już z początkiem szesnastego wieku znano takie pióra. Sławny niegdyś „mistrz pisania" Jan Newderfer wspomina o piórze stale w swoim traktacie o sztuce pisania, wydanym w r. 1514. Pióra takie sporządzane z żelaza lub miedzi, były używane nawet przy kopjowaniu rękopisów.

Rower na trzech kołach wynalazł niejaki Stefan Fartler w r. 1633. Wiadomość o tem zachowana jest w pewnem dziele z r. 1703. Niejaki Hochfeld (umarł w r. 1771) miał nawet wynaleść taksometr... Tenże wynalazca wymyślił wóz, którego dyszel dzięki odpowiedniemu przyrządowi, automatycznie się odłączał, jeśli konie się spłoszyły. Taki sam wynalazek opatentował około r. 1900 pewien Anglik.

Weźmy pod uwagę telefon i telegraf, nawet bez drutu. Sławny fizyk, żyjący w szesnastym wieku, Baptiste Podta, we wstępie do siódmej księgi swej „Magia naturalis" (1580) pisze: „Nie wątpię o tem, że przy pomocy dwóch kompasów okrętowych, opatrzonych alfabetem, można posłać wiadomość przyjacielowi, nawet jeśli ten znajduje się w więzieniu". A jeszcze siedmdziesiąt lat przedtem pisał znany polyhistor Johannes Trithemius do zakonnika Arnolda Bostiura: „Mogę bez posłańca donosić o mej woli z wielkiej odległości, drogą naturalną, bez środków zabobonnych i bez pomocy duchów". Niejaki Bergstrasser miał w 18-tym wieku wynaleźć telegraf bez drutu.

Nawet łódź podwodną wynaleziono już w szesnastym wieku, a ojcem jej był Holenderczyk Kornelius Brebbel (1572—1634).

W ten sposób można niemal bez końca snuć litanję rozmaitych nowych wynalazków, które w istocie są bardzo stare. Postęp przynosi oczywista wiele nowych rzeczy i dawniej nieznanych, ale w wielu wypadkach gdy bezkrytycznemu człowiekowi zdaje się, że ma przed sobą rzecz wyjątkową i niebywałą, naprawdę idzie tylko o nawrót do rzeczy znanych i tylko udoskonalonych. A przecież najważniejszą rzeczą jest sama idea, koncepcja, pomysł i zasadnicze sposoby wykonania. Reszta wymaga tylko pracowitości i cierpliwości. Miał trochę racji Ben Akiba, gdy powiedział: „Nic nowego pod słońcem". Wszystko się powtarza, nawet najcudowniejsze zdobycze techniki nowożytnej...



Poradnik gospodarczy.

Drzewko po posadzeniu powinno być otoczone dalszą opieką, a nie zostawione samo sobie, bo bez opieki łatwo by zmarniało. Dobrze jest świeżo posadzone drzewka posmarować na wiosnę mieszaniną gliny i krowieńca z dodatkiem wapna. Nie można zapominać o dobrem przywiązaniu drzewka do palika. Do wiązania używa się wikliny, gałązek brzozy, sznurów kokosowych, a wiązanie układa się w kształcie ósemki (8). Najlepszem jest wiązadło korkowe. Sporządza się je ze starych korków, nawleczonych na silny sznurek lub drut.. Takie wiązadło ma tę zaletę, że dobrze chroni drzewko przed tarciem. Dalsza robota około świeżo posadzonego drzewka polega na spulchnianiu ziemi około niego, podlewaniu go w czasie posuchy i formowaniu jego korony. O korzyściach spulchniania ziemi nie będziemy pisać, gdyż każdy wie, jak to jest ważnem tak samo jak i podlewanie w czasie posuchy. Formowanie korony drzewka trwa do 4 lat i dłużej. Drzewko, pozostawione sobie, wydaje długie, cienkie gałązki. Te rosną szybko na długość, a nie wydają dostatecznej ilości pędów bocznych. Wskutek tego przynoszą owocu mniej i często pod jego ciężarem się łamią. Aby temu zapobiec i otrzymać należytą koronę drzewka, należy już w pierwszym roku po posadzeniu, wczesną wiosną przyciąć gałązki o $^1/_3$ długości, ale tak, aby ostatnie oczko, nad którem gałązkę ucinamy, było zwrócone na zewnątrz. Ważną też rzeczą jest, aby gałązki nie krzyżowały się między sobą; i w tym wypadku należy jedną z nich zupełnie przy nasadzie uciąć. Jest zasadą, aby korona drzewka nie składała się z więcej gałęzi, jak 4—6 i aby te tworzyły kształtny stożek.

Przy formowaniu drzew karłowych nadajemy im żądane kształty zapomocą odpowiedniego przycinania, zaginania i przywiązywania.

Drzewa pienne (rosnące wysoko) i półpienne, mające dobrze uformowaną koronę i korzystne warunki wzrostu będą się dobrze rozwijać i wydawać piękne i dorodne owoce.

Ale i starych drzew nie możemy zostawić bez należytej opieki, mniemając, iż dadzą już sobie same radę. Drzewo, rosnące jak każda roślina, potrzebuje ustawicznie dla swego wzrostu pokarmu: trzeba mu więc tych pokarmów dostarczać, gdyż zawarte w ziemi, roślina z czasem zużytkuje. O ile jej nowych pokarmów nie dostarczymy, przestaje wzrastać i owocować i powoli marnieje.

Drzewo, jak każda roślina, czerpie pożywienie zapomocą korzeni i włośników, które znajdują się tak daleko zapuszczone w ziemię, jak szeroko są rozro-

śnięte gałązki drzewka. Nawożąc ziemię w ogrodzie owocowym należy o tem pamiętać i tak rozkładać, by drzewko z danych pokarmów należycie korzystało. Trzeba więc nawóz rozkładać nie przy pniu drzewka, ale wkoło pnia tak szeroko, jak dużą jest korona drzewka. Do użyźniania ziemi wkoło drzewka nadaje się kompost, nawóz stajenny i gnojówka.

Nawożąc kompostem lub nawozem stajennym, rozkładamy go naokoło pnia drzewa. Najkorzystniejszą do nawożenia ziemi, zwłaszcza przed staremi drzewami, jest gnojówka. Chcąc nawozić gnojówką, robimy kanciastym kołem otwory w ziemi pod drzewami w obwodzie ich koron i do otworów tych wlewamy rozcieńczoną gnojówkę (1 litr dobrej gnojówki na 10 litrów wody). Kompostu lub nawozu najlepiej używać w jesieni lub wczesną wiosną, gnojówki zaś w czerwcu i lipcu.

Co 4 do 6 lat powinno się ziemię pod drzewami wapnić. Czynność tę wykonuje się w jesieni, a wpływa bardzo dobrze przy drzewach pestkowych i jabłoniach. Wapna należy dać od 10—15 kg. pod drzewo, mieszając przez przekopanie ziemią.

Ważną jest rzeczą oczyszczanie kory przez skrobanie, bielenie i gojenie ran, powstałych na drzewie z różnych przyczyn, nacinanie kory u drzew młodych. Skrobie się pień drzewka, aby usunąć z niego starą korę, mech i porosty, w których gnieździ się robactwo. Po oskrobaniu należy oskrobki porządnie zebrać i spalić, gdyż w ten sposób zniszczymy całe gniazda różnego robactwa. Czynność tę powinno się wykonać w dzień słotny. Przez obielenie drzewka wyniszczamy resztki jajek i poczwarek owadów, ukrytych w korze.

Rany, powstałe w drzewie, należy wyciąć aż do kory zdrowej i całą ranę zasmarować maścią, a gdy zachodzi potrzeba, obwiązać szmatą.

Gdy kora drzewka silnie się rozrasta, a pień jest słaby, dobrze jest naciąć ostrym nożem korę drzewka wzdłuż od strony północnej. Nacięcie nie powinno być za głębokie, by nie naruszyć drzewka, ale tylko przeciąć korę.

Wykonując powyższe wskazówki i rady, otrzymamy drzewka owocowe pięknie rodzące i okazałe owoce, które nam mogą przynieść pokaźny dochód.

Jan Matysik.

Szczęście...

Szczęście raz tu, raz tam — ono wciąż goni.
Już ci się zdaje, że je trzymasz w dłoni —
Lecz ono znika. Gdyby je chwycić! Ach gdyby...
Ono jest jakby nakształt zwinnej ryby,

Która się grzejąc do słońca promieni —
Nieruchoma — lśniącem srebrem się mieni,
Łudzi, że niby ona na coś czeka,
Lecz po nią tylko niech ręka człowieka

Sięgnie, a złapie tylko wodę samą,
Bo rybka żwawa, umknąwszy jak strzała,
Znów gdzieindziej staje i tam znów to samo.
Więc choćby ludzkość je nie wiem jak chciała,

Niech go nie łapie, nie goni,
Bo szczęście gonić to nie rzecz człowieka,
Ludzkość na szczęście niechaj tylko czeka,
I ono może samo przyjdzie do niej?

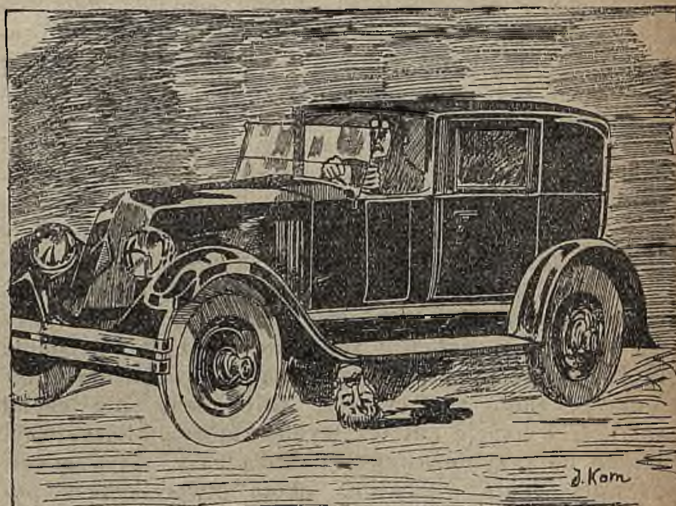
Józef Krzyszkowski.

KRONIKA.

Pożyczka zagraniczna dla Polski. Dnia 19 b. m. powrócili z Paryża do Warszawy delegaci rządu polskiego dla rokowań w sprawie pożyczki zagranicznej, wiceprezes Banku Polskiego Dr Młynarski i dyrektor departamentu Barański. Jak zapewniają w sferach kompetentnych, rokowania paryskie miały przebieg pomyślny, tak, że podpisania umowy pożyczkowej spodziewać się należy jeszcze przed dniem 1-go czerwca. Wszystkie sporne punkty, wysunięte z obu stron, zostały załatwione kompromisowo.

Uwolnienie gen. Rozwadowskiego. Generał Rozwadowski, więziony od przewrotu zeszłorocznego na Antokolu w Wilnie, został 18 b. m. wypuszczony z więzienia. Będzie on odpowiadał przed sądem z wolnej stopy.

Wypadek automobilowy. Onegdaj wracał z Truskawca do Lwowa przemysłowiec lwowski p. Pfau w towarzystwie członków rodziny. Tuż przed Drohobyczem auto najechało na kupca Zygmunta Lewina tak nieszczęśliwie, że ten dostał się pod koła auta i odniósł ciężkie obrażenia cielesne, którym po 3-dniowych męczarniach uległ.



Charakterystyczne jest, że po wypadku szofer nie zajął się ciężko rannym i szybko umknął do Stryja. Wobec ciemności nocy i szybkiej ucieczki z nieszczęsnego miejsca, nie można było stwierdzić, kto spowodował nieszczęście. Atoli widocznie jadących autem ruszyło sumienie, gdyż po postoju w Stryju zawrócili do Drohobycza i tam sami zgłosili się w komisarjacie policji i opowiedzieli cały przebieg. Sprawę skierowano do sądu.

Śmierć groźnych bandytów. Policja poszukiwała od dłuższego czasu dwóch groźnych bandytów: Budnika Michała i Jojczyka, grasujących w powiecie nowosądeckim. W nocy z 17 na 18 b. m. organa policyjne wpadły na ślad bandytów, którzy ukryli się w mieszkaniu jednego u mieszkańców gminy Cietrzewia, w powiecie nowosądeckim. Policja obstawiła dom i wezwała osaczonych do poddania się. W odpowiedzi padły strzały, na skutek czego wywiązała się obustronna strzelanina, w czasie której bandyci zostali przez funkcjonarjuszy policyjnych zastrzeleni.

Krowa pożarta przez niedźwiedzia. Ze Stanisławowa donoszą: Niezwykły wypadek zdarzył się onegdaj na połoninach między Żabiem a Jabłonicą. Obecnie nadszedł mianowicie czas, kiedy huculi z całym dobytkiem przenoszą się z nizin w góry i pędzą bydło na wypas na całe lato. Na jedną taką karawanę krów na-

padł onegdaj z lasu potężny okaz niedźwiedzia, który upatrzywszy sobie ofiarę, rzucił się na nią i pożarł ją do resztek o kilka kroków od chaty.

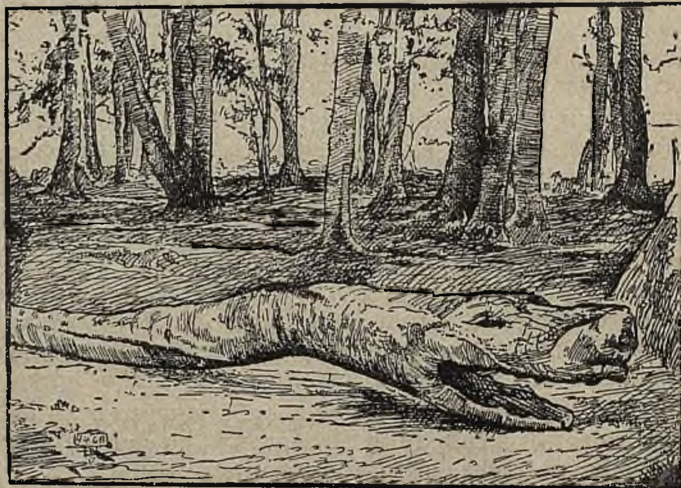
Krwawe zajście na odpuście. W niedzielę ubiegłą odbywał się we wsi Rusków, w woj. lubelskiem odpust, który zakończył się krwawemi zajściami. Kilkunastu uczestników odpustu wszczęło awanturę, w czasie której rzucali na innych ludzi kamieniami, a nawet odgrażali się im nożami. Obecni na miejscu posterunkowi wystąpili przeciw awanturnikom i wezwali ich do porządku. Awanturnicy jednak nietylko nie usłuchali tego wezwania, lecz rzucili się na policjantów, godząc w nich kamieniami, z krzykiem: „Rozbroić i zabić policjantów". Podczas tego post. Kusiak został zraniony kamieniem w głowę. Jeden z awanturników zaś, Bolesław Zupka, rzucił się na poster. Kusiaka i chwycił za karabin z zamiarem rozbrojenia go. Wtedy post. Kusiak użył broni palnej, strzelił i położył Zupka trupem na miejscu. Podczas walki poster. Kusiaka z rozwydrzonym Zupkiem został karabin Kusiaka złamany. Post. Kusiak z powodu odniesionych licznych ran przebywa w szpitalu.

Egzekucja na stacji kolejowej. W roku 1923 wydarzyła się około Oradea - Mare w Siedmiogrodzie wielka katastrofa kolejowa. Obok siedmiu zabitych było wielu ciężko rannych. Niejaka Irma Mihaly, której narzeczony został zabity, straciła obie nogi. W procesie przeciwko zarządowi kolei państwowych, zażądała panna Mihaly odszkodowania w wysokości 2 milj. leji, a wreszcie po przejściu sprawy przez wszystkie instancje sąd apelacyjny skazał zarząd kolejowy na zapłacenie odszkodowania w kwocie 750.000 leji. Wobec tego, że kwoty tej skarb kolejowy wzbraniał się wypłacić, przystąpiła panna Mihaly ze swymi adwokatami do egzekucji. Przed kilku dniami zjawili się na dworcu kolejowym w Oradea-Mare u kasjera stacyjnego trzej adwokaci, egzekutor, policja i żandarmi i zażądali wydania kwoty 750 tysięcy leji, legitymując się nakazem egzekucyjnym sądu apelacyjnego. Gdy kasjer nie chciał kwoty tej wypłacić ani też wydać klucza od kasy, przystąpiono do przymusowego otwarcia kasy. Trzy godziny trwała robota mechanika około otwarcia kasy, poczem adwokaci pod osłoną policji i żandarmów skonfiskowali wszystkie pieniądze i spisali protokół. Liczenie pieniędzy trwało aż do północy, bo znaleziono miljon leji w drobnej monecie. Niesłychana ta i jedyna w swoim rodzaju egzekucja wywołała niebywałą sensację w całym kraju. Ministerstwo sprawiedliwości w Bukareszcie zażądało wyjaśnień w tej sprawie od sądu apelacyjnego w Oradea-Mare.

Mąż własnej siostry. Z Landau (w Niemczech) donoszą, iż w Kaiserslautern został aresztowany pewien mężczyzna, o którym po sporze „z teściową" doniesiono policji, iż ożenił się z własną siostrą. Aresztowanego policja jednak wnet uwolniła, gdyż nie można mu zarzucić świadomego przestępstwa. Dziwny i niezwykły wypadek wydarzył się w następujących okolicznościach: Mąż własnej siostry wychowywał się jako nieślubne dziecko u obcych ludzi w Bawarji. Matka jego, która przestała się nim opiekować i zupełnie prawie zapomniała o jego istnieniu, powiła później córeczkę, która po wojnie zatrudniona była w Landau, gdzie pracowała w pewnej restauracji. Tutaj poznał ją ów młody mężczyzna. Nie wiedząc, że młoda dziewczyna jest jego własną siostrą, ożenił się z nią. Także dziewczyna oczywiście nie wiedziała, że zawiera związek małżeński z bratem rodzonym. W ten sposób matka młodego człowieka została jego teściową. Sprawa dopiero obecnie wyszła na jaw.

Jubileusz najstarszego dziennika. „Linzer Zeitung" obchodziło w tych dniach 250-tą rocznicę swego istnienia — pierwszy bowiem numer tego pisma ukazał się 24 kwietnia 1677 roku. Dziennik ten, będący niewątpliwie najstarszem wydawnictwem codziennem w Europie, posiadał od chwili jego założenia przez Jakóba Mayra bardzo duży nakład, cieszył się zawsze wielką poczytnością i wydawany był bez jednego dnia przerwy.

Dziwne drzewo. Kto był choć raz w życiu w większym lesie, ten wie, jak dziwne kształty przybierają czasem pnie drzew. Zwłaszcza w ciemności dopatrzeć można w niejednym podobieństwa do różnych ludzi, zwierząt i t. d. Są tacy wraeliwi ludzie, szczególnie kobiety i dzieci, którym na widok niezwykłego drzewa zwiduje się Bóg wie co: strachy, upiory. Zdarza się to i mężczyznom, zwłaszcza opilcom, gdy im droga przez las z karczmy wypadnie.



W pewnym lesie ścięto niedawno bardzo stary dąb, który po obaleniu na ziemię i obcięciu korzeni wydał się uderzająco podobnym do strasznego potwora z krajów gorących, krokodyla. Właściciel lasu, człowiek bogaty, kazał ten pień pozostawić na miejscu, aby ludzie oglądać mogli ten dziw przyrody.

Rzymski morderca dziewcząt. Długo poszukiwany morderca dziewcząt, który w przeciągu kilku miesięcy cztery dziewczątka w bestjalski sposób zamordował — został w osobie 38-letniego Gino Girolimoni ujęty. Rzadko które aresztowanie zbrodniarza wzbudziło tak powszechną sensację, a zarazem zadowolenie, jak tym razem. Ludność Rzymu odetchnęła swobodnie, gdy dowiedziano się, że potwór, który teroryzował miasto, jest już w rękach policji. Z śledztwa wynika ponad wszelką wątpliwość, że wszystkich zbrodni dokonał jeden i ten sam człowiek. Ostatni wypadek dotyczył 13-letniej Armandy Leonardi, której zwłoki znaleziono na gościńcu pod Rzymem dnia 12 marca b. r. Dookoła szyji dziewczynki była zaciśnięta chustka do nosa. Śmierć atoli nie nastąpiła wskutek uduszenia. Zbrodniarz widocznie tylko dla pewności dodusił ją w ten sposób. Ta chustka do nosa okazała się ważnym, a fatalnym dla zbrodniarza dowodem i odegrała doniosłą rolę przy stwierdzeniu tożsamości jego osoby.

Elegancka żebraczka. Przed kilku dniami najechał przypadkiem automobil na żebraczkę, stojącą przy jednej z ruchliwych ulic Florencji. Ofiarę nieuwagi kierowcy samochodowego zabrano do szpitala, gdzie wyszło na jaw, że pod brudnemi łachmanami ukrywa się znana we Florencji dama, nazwiskiem Marja Marruccini, przyjmowana w najlepszych domach patrycjuszow-

skich. Maruccini umiała w przedziwny sposób zmieniać swój wygląd. We dnie kulała, spoglądała jednem okiem na świat, bo drugie wydawało się być przesłonięte bielmem, ciało jej trzęsło się w nerwowych drgawkach, wieczorem zaś przebierała się w modną toaletę, przedzierzgała w damę, tańczyła charlestona i czarowała mężczyzn ognistemi spojrzeniami. Pani Marruccini zajmowała piękny apartament i posiadała w gotówce 200.000 lirów, złożonych na rachunku bankowym. Żebrzącą elegantką zajęły się władze sądowe.

Pieprzna historja. Zdarzyła się ona niedawno w jednem z niewielkich miast środkowej Francji. Redaktor miejscowego dziennika ogłosił następującą notatkę: „Przed kilku dniami moja służąca kupiła w jednym ze sklepów funt pieprzu. Po zrobieniu analizy okazało się, że zawiera on 50 procent kurzu. Narazie nie podaję nazwiska kupca do wiadomości publicznej, ostrzegam go jednak, że jeżeli jutro nie odniesie mi pół funta pieprzu, opublikuję jego nazwisko bez litości". — Rezultat groźby był taki, że nazajutrz 35 kupców osobiście przyniosło do mieszkania redaktora żądane pół funta najlepszego pieprzu.

Nieuzasadniona zemsta. W jednej z małych wiosek we Francji, w Vigneaux, wybuchł onegdaj pożar w domu sześćdziesięcioletniego starca, rolnika Stefana Rouxa. Przyczyna pożaru była nieznana. Wiatr, który był w tym dniu silniejszy, rozszerzył ogień na inne domy i w ten sposób spłonęło 8 zabudowań, pozbawiając kilka rodzin dachu nad głową. Między ofiarami pożaru, doprowadzonemi utratą swego domu do rozpaczy, wybuchło zrozumiałe rozgoryczenie i chęć zemsty na tym, który spowodował u siebie ogień i stał się przyczyną ich nieszczęścia. Pogorzelcy ruszyli do domu starca Rouxa, wyciągnęli go z ruin mieszkania i pobili drągami i motykami na śmierć. Wypadek ten wywołał w całej okolicy ogromne poruszenie. Władze rozpoczęły śledztwo w tej sprawie.

Królowa rubinów. W Paryżu produkuje się obecnie tancerka hiszpańska Ida Gonzalvos, którą nazywają w jej ojczyźnie „królową rubinów". Posiada ona bowiem garnitur tych klejnotów, uchodzący za jeden z najpiękniejszych w świecie. Garnitur ten, oceniany przez znawców, na sumę kilku miljonów francuskich, składa się z przecudnych kolczyków, fenomenalnej piękności naszyjnika, złożonego z kilkudziesięciu kamieni, kilku pierścionków i dwóch bransolet. Królowa rubinów ma coprawda sporo kłopotów z tymi klejnotami. Musi jej stale towarzyszyć detektyw, gdyż kilkakrotnie już usiłowano dokonać na niej zamachu rabunkowego. Wtajemniczeni twierdzą, że piękna tancerka pojawia się na scenie zwykle w klejnotach fałszywych, obawiając się jakiegoś wypadku. Wprawdzie ona sama oficjalnie temu w liście wystosowanym do dzienników paryskich, zaprzeczyła, ale rzecz się istotnie najprawdopodobniej tak przedstawia. Ida Ganzalvos miała te klejnoty otrzymać od pewnego egzotycznego indyjskiego wielbiciela.

Podwójny ślub. W Belgji wydarzyła się niezwykła historja ślubna, która naraziła małżeństwo na bardzo poważne przykrości. Oto w r. 1913 pan Albert Roosen i panna Joanna Żaklina Lepage wzięli ślub cywilny w Molenbeck i zamieszkali w tem samem mieście. Biorąc jednak ślub, nie zauważyli, że urzędnik, spisujący akt ślubny, wpisał zamiast imienia Joanny Żakliny, imię jej siostry, panny Joanny. Upłynęły lata i oto pewnego razu pani Joanna Żaklina Roosen zażądała z urzędu stanu nowego dowodu osobistego. Urzędnik, wydający dowody, zwrócił uwagę, że pani Joanna Żaklina Rosen nie jest wcale zamężną, gdyż akt ślubu opiewa na imię i nazwisko Joanny Lepage, jej siostry. Małżonkowie przedsięwzięli natychmiast kroki w celu poprawienia omyłki. Daremne wysiłki. W dodatku sprawa zaczęła się wikłać. W r. 1917 panna Joanna Lepage, która legalnie była panią Rosen, została dotknięta chorobą umysłową. Wtedy posądzono pana Rosena, że umyślnie kazał wpisać w akcie ślubnym imię panny Joanny Lepage, aby uwolnić się od obowiązków małżeńskich wobec Joanny Żakliny. W r. 1919 panna Joanna Lepage umiera w szpitalu. Śmierć ta utwierdza jeszcze władze w tem przekonaniu i wywołuje oburzenie publiczne. W dodatku zmarła panna Joanna Lepage zostawiła asekurację na korzyść swojej siostry Joanny Żakliny. Kiedy Joanna Żaklina zgłosiła się po tę asekurację, towarzystwo asekuracyjne odmówiło jej wypłaty premji, twierdząc, że Joanna Żaklina umarła, a Joanna Lepage, zamężna pani Rosen żyje. Chcąc położyć kres tym nieustannym przykrym nieporozumieniom, państwo Rosen postanowili pobrać się poraz drugi po czternastu latach małżeństwa. Ślub ich odbył się istotnie po raz drugi przed kilkoma dniami, bez rozwodu.

Testament dziwaka. Niedawno zmarły w Londynie prawnik pozostawił po sobie bardzo dziwaczny testament. Ponieważ chodziło mu najwidoczniej o to, by go po śmierci wspominano, postanowił tak zarządzić swym majątkiem, by wyodrębnić z niego sporą sumkę, z której procenty używane być mają na doroczny obiad dla przyjaciół. W tym celu adwokat ustalił najpierw tych przyjaciół listę, obliczył dokładnie, co może dla nich dać na obiad, aby można było zjeść wystawnie i wydzielił z majątku odpowiednią sumę, z której procenty mają iść w całości na urządzanie takich rocznych obiadów. Im lista przyjaciół będzie maleć, — ludzie przecie umrzeć muszą — tem obiady będą wystawniejsze. A gdy z dużej listy przy życiu zostanie jeden już tylko człowiek, ma on całą sumę zabrać z banku i obrócić na dowolny użytek. Adwokat, umierając, zapewnił swe otoczenie, że dzięki tak pomysłowemu testamentowi będą o nim mówić jeszcze bardzo wiele lat po śmierci, szczególnie zaś rzewnie wspominać będą przyjaciele podczas smakowitych obiadów.

Fatalna wędrówka klejnotu. Słynna historja śmiercionośnych skarbów z grobu Tutenkhamena znalazła obecnie pewne podobieństwo. Historja opisana niżej, jest tembardziej godna uwagi, że ofiarą pierścienia padli, nie jak w historji skarbów egipskich, wiekowi uczeni, lecz ludzie młodzi, tryskający pełnią sił żywotnych. Historję pewnego fatalnego dla sportowców pierścienia opisuje jedno z londyńskich pism, podając bardzo ciekawe szczegóły. Złoty, piękny pierścień miał na palcu kolarz Petersen w chwili, gdy skutkiem upadku na torze poniósł śmierć. Pierścień przeszedł do rąk przyjaciela zmarłego Millera w tandemie. I tu jednak nie zagrzał miejsca długo, gdyż nowy właściel jego zabił się po 6 miesiącach również na torze. Spadkobiercy Stafforda ofiarowali nieszczęsne cacko jego trenerowi, a ten z kolei swemu przyjacielowi Stinzowi, uprzedzając go jednak, aby pierścienia nie nosił, gdyż sprowadza on nieszczęście. Ponieważ Stinson nie wierzył bajkom o właściwościach pierścienia, doczekał się wkrótce trzech kolejnych wypadków na zawodach kolarskich i dopiero wtedy zrezygnował z noszenia owej fatalnej pamiątki, która w ten sposób zakończyła swą śmiercionośną wędrówkę po świecie.

Tajemnica Londynu. Policja londyńska zajmowała się niedawno tajemniczą śmiercią pewnego starca. Chodziło o 81-letniego Henryka Stowella, który niedawno zakończył życie wśród okoliczności niezwykle za-

ciekawiających. Henryk Stowell mieszkał przy ulicy Northumberland. Wczesnym rankiem przechodzący tamtędy policjant ujrzał starca, leżącego na bruku bez życia. Stowell był w bieliźnie, a około prawej stopy owiązany był sznur. Policja londyńska stanęła wobec niezwykłej zagadki. Zrazu nasunęło się przypuszczenie, że starzec padł ofiarą zbrodni. Ale stwierdzono, że żaden z cennych przedmiotów, znajdujących się w mieszkaniu zamożnego rentjera, nie zniknął, a łagodny charakter i spokojny tryb życia starca wykluczał możliwość innych motywów zbrodni. Wobec tego zaczęto przypuszczać, że idzie tutaj o samobójstwo, dokonane w trochę dziwaczny sposób. Mianowicie starzec miał się udać na dach swego domu i stamtąd rzucił się na bruk. Ale cóż w takim razie oznacza ów sznur na stopie? Sprawa zaczęła się wydawać coraz bardziej tajemniczą. Po zbadaniu dachu domu okazało się, że z okienka strychowego zwisa lina, której drugi koniec przywiązany był do słupa, podtrzymującego płatwie strychowe Wyglądało to tak, jakby starzec przywiązał nogę sznurem, a następnie rzucił się w przepaść, albo też jakby ktoś zaciągnął Stowella na strych i stąd wyrzucił go oknem. Słowem — policja gubiła się w przypuszczeniach, z których żadne nie okazało się zupełnie wystarczającem i wyjaśniającem wszystkie ciemne punkty tej tajemniczej, sensacyjnej afery. Dopiero zeznania serdecznego przyjaciela Stowella, niejakiego Jamesa Browna, notarjusza, przyniosły trochę światła w tę mroczną zagadkę. Henryk Stowell był od dłuższego czasu lunatykiem. Od kilku lat zaprzestał swoich wypraw nocnych, tak, że mieszkańcy domu, w którym od niedawna wynajmował kilka pokoi, nie wiedzieli nic o okultystycznych mocach, drzemiących w duszy dobrodusznego i poczciwego staruszka. Bezpośrednia przyczyna tragicznego wypadku była następująca: Peprzedniego wieczora udał się starzec w towarzystwie notarjusza Browna do cyrku Picadilly. Starzec widział sam rozmaite atrakcje akrobatyczne. Szczególnie uwagę jego zwrócił pewien artysta, który umieściwszy stopę w pętli sznura, huśtał się w karkołomnem salto mortale na trapezie, umieszczonym na wysokości kilkunastu metrów. Stowel przejął się bardzo silnie produkcja akrobaty i w drodze powrotnej cały czas o tem rozmawiał. Następnie pożegnał się z przyjacielem i wrócił do domu. Następnego dnia znaleziono go przed domem bez życia. Henry Stowell musiał w przeciągu nocy, pod wpływem snu wdrapać się na dach i tam powtórzyć produkcje akrobaty, widziana w cyrku. Tymczasem lina się urwała i nieszczęsny starzec runął na bruk, roztrzaskując sobie głowę.

Emerytura dla starców. Stan Illinois w Stanach Zjednoczonych uchwalił bil (ustawę), przyznający emeryturę 260 dolarów rocznie dla tych obywateli, którzy ukończyli 70 rok życia i w obrębie tego stanu mieszkają 20 lat. Sądy powiatowe mają zbadać, czy kandydaci do tej emerytury nie są przestępcami lub zawodowymi włóczęgami. Skutkiem powzięcia tej uchwały wydatki stanu Illinois wzrosną mniejwięcej o 25 miljonów rocznie, które będą pokryte z podatków stanowych, podwyższonych o połowę.

Domy na... ołówki. Jakość ołówka zależy w dużej mierze od gatunku drzewa, stanowiącego oprawę pałeczki grafitowej. Najlepszy jest z cedru czerwonego, rosnącego w Ameryce, rabunkowa jednak gospodarka leśna sprawiła, że ceny na to drzewo, które stało się niesłychanie rzadkie, wzrosły w sposób fantastyczny — dziś tylko luksusowe ołówki mogą mieć tak kosztowną oprawę. Ponieważ zaś materjału, któryby zastąpił to drzewo, nie udało się ani odkryć, ani wynaleźć, przeto fabrykanci poczęli na gwałt szukać starych cedrów, już przerobionych w innych celach. Traf sprowadził ich do Tennessee, gdzie duża ilość domów posiada wszystkie belki i wiązania z tego, tak cennego cedru czerwonego, a który w zeszłym wieku nie był jeszcze rzadkością. Przemysłowcy zakupili hurtem wszystkie te budowle, które przekształcą się w ołówki i zobowiązali się wznieść na ich miejsce nowe, z całym komfortem urządzone. Podobno obie strony dokonały korzystnej tranzakcji.

Niezwykłe wyprawy. Niedawno powróciło do San Francisco dwóch oryginalnych podróżników: James Buckley i John Humfry. Młodzi ci ludzie rozpoczęli też swoją karjerę w roli cowboyów, osobiście doglądając olbrzymich stad swoich rodziców. Mając obecnie po lat trzydzieści, młodzi bogacze postanowili zorganizować wyprawę podróżniczą do Ameryki Południowej. Odbyli daleką podróż z San Francisco do Brazylji konno w towarzystwie czterech innych cowboyów. W ciągu trzech miesięcy cowboye schwytali na lasso pięć dzikich bawołów, trzy jaguary, dwanaście antylop, dwanaście niedźwiedzi, trzy pumy, siedem krokodyli, dwa węże (boa dusiciele), i niezliczona ilość małp i innych drobnych zwierząt. Inną znowu niepowszednią wyprawę obmyślił i dokonał inny miljoner amerykański — Forkes. Wyjechał on do wschodniej Afryki angielskiej, gdzie uprawiał polowanie, posiłkując się wyłącznie łukiem i strzałami. Forkes i jego towarzysze zdobyli kilka lwów i lampartów, trzy dzikie bawoły, dwa słonie, żyrafę, a nawet dobrze opancerzonego przeciwko strzałom nosorożca. Trzecią niezwykłą wyprawą była ekspedycja bankiera Luigi z Argentyny, który wraz z córką poszukiwał w okolicach jeziora Czad białych nosorożców i spędziwszy dwa lata w dżungli wschodniego brzegu jeziora, spotkał się nareszcie z poszukiwanem zwierzęciem. Odważna panna Luigi strzeliła pierwsza i śmiertelnie ugodziła rzadki okaz białego nosorożca.

Pierwsza lotniczka w Japonji. Jak dalece dawna Japonja z jej obyczajami i poglądami znika, ustępując miejsca państwu nawskróś nowoczesnemu, dowodem rola, jaką grają tam kobiety. Wraz z innemi rzeczami i kierunkami z zachodu krzewi się obecnie w Japonji ruch feministyczny. Podobnie jak Chinki, młode Japonki studyują w uniwersytetach europejskich i amerykańskich, na których wzór powstają odpowiednie szkoły w Japonji. Wskutek tego kobieta tamtejsza pragnie w życiu nietylko towarzyskiem, lecz i obywatelskiem odgrywać równą mężczyźnie rolę. Dwie Japonki, panny Szybeno Kibe i Asano Maida ukończyły właśnie szkołę pilotów-lotników. Są to pierwsze kobiety państwie wschodzącego słońca. Nowe pilotki wzięły udział w konkursie lotniczym, w którym dowiodły, że potrafią nie gorzej od mężczyzn walczyć z trudnościami zawodu. Zostały tez z tego powodu zaszczytnie wyróżnione.

Odmładzanie ludzi. Brazylijski lekarz nazwiskiem Dr Schierck wynalazł sposób odmładzania ludzi, który polega na wstrzyknięciu jakiegoś płynu w ciało człowieka. Dotychczasowe doświadczenia stwierdziły podobno dobre wyniki tego nowego środka. Kuracja obejmuje 12 wstrzyknięć. Już po kilku injekcjach znikają zmarszczki, następnie psychiczne ożywienie, pacjent przybiera na wadze i siła muskułów wzrasta. Uczucie osłabienia i wapnienie żył zmniejsza się i z czasem znika zupełnie, a nawet — podobno — włosy zaczynają porastać na łysinie.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.: Chłop z Grajowa 30 gr., L. Jarolim z Wieliczki 1 zł, Karol Kasperek z Międzybrodzia na wianek dla Myrdalonki 60gr.

RZECZY CIEKAWE.

Serce ludzkie.

Praca naszego serca, pozornie tak nieznaczna, wynosi w ciągu dnia tyle, że tej energji wystarczyłoby na podniesienie własnego ciężaru na szczyt Mont Blanc w ciągu godziny. A przecie mięsień serca ma wielkość pięści i waży około 300 gramów, u kobiet nawet 250 gramów. Ale warunki naszego życia mogą wpływać na bardzo znaczne zmiany wsercu, szczególnie w kierunku powiększenia jego rozmiarów. Tak np. pisarze mają serce przeciętnie o 10 procent cięższe. Ciężkie też serce mają ludzie, prowadzący tryb życia siedzący. Serce takich ludzi, szczególnie w ich latach późniejszych, ma skłonność do porastania tłuszczem. Bardzo wydatnie wpływa też na serce zwiększona wydajność jego pracy ma to zazwyczaj miejsce przy wadzie serca lub przy uprawianiu sportów.

Te właśnie okoliczności sprawiają, że nieraz serce urasta do podwójnych rozmiarów, a nawet jeszcze więcej! Poszczególne etapy rozwoju serca i jego wad i uchybień doskonale możemy badać dzięki aparatowi Roentgena. Stwierdzono naprzykład, że w wielu wypadkach uprawiania sportów wpływa na serce w ten sposób, że nie powiększa ono objętości, lecz jego uderzenia są silniejsze i powolniejsze. Ten objaw jest dowodem, że sport dobroczynnie wpływa na organizm, że ćwiczenia nie są stosowane ponad miarę i nie obciążają zbytnio organizmu.

Stwierdzono dalej, że najwięcej serce pracuje przy wiosłowaniu i w narciarstwie najmniej zaś w lekkoatletyce, fechtunku, boksowaniu i piłce nożnej. Naogół lekarze utrzymują, że na serce bardzo źle działają przesadne treningi i walki o rekordy, bo wtedy cały organizm wydaje z siebie, co tylko może i serce jest nadzwyczaj obciążone, jeśli nawet wskutek takich wysiłków nie nastąpi rozszerzenie serca, to jednak stale walczyć z takiem obciążeniem serce nie jest w stanie.

A rozszerzenie serca kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa dla organizmu, czego dowodem najlepszym fakt, że np. cyrkowi atleci bardzo rzadko długo żyją. Piwosze, pochłaniający po kilkanaście litrów piwa dziennie, również żyją krótko, a nieraz umierają w młodym jeszcze wieku.

Nowy Orlean

Pisaliśmy już o tem w „Roli“, iż w Ameryce wylała rzeka Mississipi, czyniąc olbrzymie szkody. Zagroziła ona również jednemu z największych miast Ameryki, Nowemu Orleanowi. Mississipi otacza Nowy Orlean pierścieniem na 1 klm. szerokim.

Ta sama rzeka, która dziś grozi miastu zagładą, była swego czasu przyczyną jego szalonego rozrorstu. Miasto nie pozostawało jednak bez obrony przed możliwemi wylewami, otoczono je bowiem wielką tamą, długości 200 kilometrów i bardzo szeroką i wysoką — szerokość jej wynosiła pięć metrów. Tama w zwykłych warunkach była świetnem miejscem przechadzek, założono bowiem przy niej ładny park.

Sama stolica południowych Stanów, jako miasto, które rozwój swój zawdzięcza ostatnim czasom, było w swej budowie niesłychanie prostolinijne i prawidłowe. Ulice biegły od środka miasta ku rzece niby promienie olbrzymiego półkola, poprzeczne zaś były wysoce oryginalne, urządzono je bowiem równolegle do rzeki, tworzyły więc one linje półkoliste.

Zadrzewienie miasta było bardzo znaczne, to też powietrze było tam poprostu świetne.

Nowy Orlean, jak już sama nazwa świadczy, powstanie swe zawdzięcza Francuzom; dotąd jeszcze jest tam dzielnica, w której mówi się bardzo wiele po francusku, podczas gdy w pozostałych częściach przeważa wyraźnie język angielski.

Z natury swego położenia Nowy Orlean jest portem i to jednym z największych w Stanach Zjednoczonych; głównym produktem wywozu są: bawełna, zboże, kukurydza i mięso. Dziś ma on już pół miljona ludności, gdy jeszcze na początku bieżącego stulecia posiadał zaledwie ćwierć miljona.

Poza wielkim ruchem handlowym miasto posiada też szereg instytucyj oświatowych — kilka uniwersytetów, a w ich liczbie jeden dla murzynów. Nowy Orlean ma ludność żądną hucznych zabaw, to też karnawał tutejszy należy do najświetniejszych na świecie.

Dziwy w świecie.

W styczniu drukowaliśmy w „Roli“ różne niezwyczajne zdarzenia, jakie dzieją się w świecie. Obecnie gazety podają dwa podobne wypadki.

Oto pewien badacz holenderski ogłosił artykuł o sprawdzających się przepowiedniach śmierci. Podaje on cały szereg przykładów z życia. Pewien stary człowiek oświadczył w dniu 21 października, że umrze 31. Zawezwany lekarz stwierdził, że pacjent wprawdzie silnie wychudły, ale zdrów jeszcze i bez żadnej wady organicznej, poza lekkiem chronicznem zajęciem tchawicy. Serce było zupełnie zdrowe. W dniu 29 października starzec ów powtórzył swe proroctwo, dodając, że umrze 31 o północy. Dzień 30 października miał przebieg zupełnie spokojny. W dniu 31 starzec poczuł bóle po lewej stronie ciała, lekarz stwierdził początek zapalenia płuc, temperatura skoczyła odrazu ponad 40 stopni. O godzinie wpół do 12 w nocy pacjent zapytał, która jest godzina, żona odparła, że już 2 po północy. Pacjent zaprzeczył temu i powtórzył, że umrze o godzinie 12 w nocy. Istotnie punktualnie wybiła północ, obrócił się na bok i zasnął. Raz jeszcze podniósł rękę, wskazał na zegar i zamknął powieki na zawsze.

Inny lekarz opowiada o podobnym wypadku. Miał pod swoją opieką pewnego chorego cierpiącego na ostry reumatyzm stawów. W 15 dniu choroby, stawy były spuchnięte i sprawiały dotkliwe bóle. Chory miał wysoką gorączkę. Ku największemu swemu zdumieniu zastał chorego drugiego dnia zupełnie ubranego zupełnie i bez gorączki. Pacjent opowiadał, że w nocy zjawił się duch jego zmarłego ojca, który dotknięciem swojem uwolnił go od wszystkich jego bólów, i obiecał mu, że przyjdzie po niego wieczorem o godzinie 10. W południe chory zażądał befsztyku z kartoflami, który mu podano, ponieważ nie miał gorączki.

O godzinie 8 wieczorem lekarz przyszedł znowu i zastał zarówno pacjenta, jak i jego rodzinę w jak najlepszem usposobieniu. Rozmawiano i śmiano się swobodnie. Na krótko przed godziną 9 pacjent rzekł: „Nadeszła godzina“. Pożegnał uściskiem żonę i rodzeństwo, położył się do łóżka, skinął jeszcze ręką na pożegnanie i więcej się nie poruszył. Wielce prawdopodobnem jest, że w tym wypadku zabójczą rolę odegrała autosugestja, wywołując momentalnie paraliż serca.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Józef Kapuściński** w L.: Wierszy mamy bardzo duży zapas. Jednego autora zbyt często drukować nie możemy, gdyż innym byłaby krzywda. Na losowanie nagród za rozwiązywanie zagadek nie mamy najmniejszego wpływu; tu rozstrzyga ślepy los. — **Władysław Maniewski** w D.: Zagadki dobre; w miarę miejsca umieścimy. — **Wł. Ciepiela** w B.: Kaśka do Krakowa na służbę iść nie chce, gdyż powiada, że tam nie ma takich morowych chłopaków w garści, jak we wsi. — **Stefan z pod Tarnowa:** Jeżeli to miał być humor, to wcale się nie udał. — **M. Krawczyk** w Ż.: „Sonety wiosenne“ zupełnie dobre, trudno nam jednak oznaczyć, kiedy je wydrukujemy. — **Wł. Reichel** w H.: Nadesłane nam utwory są to zwykłe rymy, ale poezji w nich zupełnie niema. Zagadki umieścimy. **Władysław Wosnak** w Solcu Kujawskim: Nadesłaną nam powieść otrzymaliśmy. Po dokładnem przeczytaniu jej odpowiemy, czy nadaje się do „Roli“, czy nie.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 maja b. r.

Pszenica .	60·00—61·00	Słoma długa	5·00— 5·50
Żyto . .	54·00—55 00	Ziemniaki stoł.	12·00—14·00
Owies . .	43·00—44·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	43·00—45·00	sienn. czer.	00·00—00·00
Groch zwyk.	48·00 – 53·00	Mąka pszen.	93·00—95·00
Fasola biała	55·00 – 60·00	Mąka żytnia	77·00—78·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·94—8·90	Korony czeskie	26·44—26·50
Funty szterl. . .	43·46—43·58	Franki szwajc.	172·04—172·47
Franki francuskie	34·96—35·05	Liry włoskie .	48·67—48·55



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Stanisław Matysik z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ssak nieparzystokopytny.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Żołnierz sułtana tureck.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Roślina psiankowata.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Strach (wspak).
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Zwierzę.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Roślina leśna.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do strugania.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Pozdrowienie (wspak).
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owad.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Szlachetny kamień.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ Imię męskie (wspak).
☆ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zdolność umysłu.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Znak pisarski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Siedziba ludzka.

Litery zaznaczone gwiazdkami czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko wielkiego bohatera polskiego.

2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Marzec).

I.

Atlas, co ciężar dźwiga naszej ziemi,
Pierwszem i drugiem zbrojny potężnemi.
Pierwsze i trzecie słyszeć nam się zdarza,
A jest nazwiskiem księdza i pisarza.
Pierwsze i czwarte kto czyni, docieka
Wielu w naturze tajemnic dla człeka.
Drugie i pierwsze zwierzę znane przecie
Jest małe, duże i największe w świecie.
Trzeciego z drugiem każdy się obawia,
Bo człeka w przykrem położeniu stawia.
Czwarte i drugie miłe jest każdemu,
Tak ubogiemu, jak i bogatemu.
Całe ci przejście w drodze zatamuje...
Znany to wyraz — lecz jak się mianuje?

II.

Pierwsza litera, trzecie litera —
Czytaj wspak drugie, także litera.
A kiedy złożysz wszystkie trzy w rzędzie,
Lecz druga zawsze gdy w środku będzie,
To może czytać, jak komu składnie...
Zacznie od pierwszej, tak samo zgadnie,
Jak ten, co zaczął czytać od trzeciej —
Jedno znaczenie zawsze wyświeci.
Jest to żyjąca istota w świecie,
Co litość wzbudza — łatwo zgadniecie!

3. Zagadki.

(Zebrał wśród ludu śląskiego J. Morys z C.)

I.

Co robi w kościelę święty, gdy słońce nań świeci.

II.

Kto się nie narodził, a umarł.

III.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Przysłowie mówi: Jaki ojciec taki syn. Syn chodzi z nadętą miną, w dętym kapeluszu i gra na dętym instrumencie.

Szanowni czytelnicy odgadną czem jest jego ojciec.

4. Układanka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.)

Ser, car, pan, raz, Bem, lot, łan, sen, bąk, lin, sąż, złe, bon, gaz.

Z każdego z powyższych wyrazów wykreślić po jednej literze, pozostałe zaś dadzą nam jeden wiersz ze znanego dzieła Słowackiego.

5. Bilety wizytowe.

(Ułożył Antoni Głowacz).

I.

Piotr Czesław Gonzag-Kewóppi

II.

Celina Katoklojewska

III.

Teodor Grypnowski

Z liter podanych nazwisk ułożyć zawód tych osób.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 5-go czerwca.

Znaczenie zagadek z Nru 20 „Roli“: 1. Logogryf: Szkoła powszechna. 2. Szarady: Stodoły. Kamienie. 3. Zagadka: Rum·— mur. 4. Łamigłówka literowa: Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała. 5. Układanka: Konkordat.

Dobre rozwiązanie w oznacznonym czasie nadesłali pp.: Franciszek Lichota z K., Józef Kaizer z W. G., Jan Wyrobek z J., Ignacy Jaśko z K., Marja Świecicka z D., Irena Zastawna z W., Ignacy Olbrycht z H., Jan Patulski z S., Józef Fornal z Cz., Stanisław Bulek z O., W. Miśniak z P., A. Węgliński z B., Edward Cygan z B., Rudolf Kula z M. K., Jakób Babiarz z R., Jan Dąbrowski z S., L. Jarolim z W., Franciszek Nowak z Cz., Ktoś z Trzebini bez podpisu, Piotr Wenc z S., Stanisław Jachowicz z G., W. Flis i T. Sroka z L., Piotr Galocz z C. ,Stefan Reuss z K., Józef Topolski z P. G., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Jan Szymanowski z K., Łukasz Balka z K., Stanisław Matysik z K., J. Wojnar z M. G., Jan Woźniak z D., St. Kosowski z P., W. Ciepiela z B., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Władysław Maniewski z D. W., Kazimierz Lutecki z Rz.

Nagrody wylosowali pp.: St. Kosowski z P. i Irena Zastawna z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Na lekcji muzyki z synem bankiera.

Nauczyciel: Raz, dwa, trzy!... proszę powtórzyć: raz, dwa, trzy.

Bankier: Czemu go pan męczysz, panie profesorze? Umie on lepiej rachować od pana przecież to moje dziecko!



Z dziecięcego świata.

Ojciec: Powiedz córeczko, cobyś chciała, żebym ci kupił na imieniny?

Mała córeczka chora na zęby: Niech mi tatko kupi takie zęby jak ma mamusia, żebym je mogła wyjąć, kiedy zaczną boleć.



Rozmówili się.

— Kto jest ta pani, ź którą się witałaś?
— Moja krewna.
— Bliska?
— Ale gdzie tam, mieszka aż na Litwie.

W sądzie.

Nazwał mnie osłem, idjotą, baranią głową; mogę potwierdzić przysięgą, że to prawda.



Racja!

Żona: Jak ty śmiesz łajać mię przy gościach!

Mąż: Widzisz, jak jesteśmy sami, to nie mam odwagi.



Logiczne rozumowania.

— Jeżeli stanę na głowie, wszystka krew zbiega mi się do niej, dlaczego więc, kiedy stoję na nogach, krew do nich nie spływa?

— Dlatego, że nogi nie są puste.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł. 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

OKŁADKI NA „ROLĘ“ twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli“. Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.